

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ.

KAM

MIESIĘCZNIK

1918

XX

1938

LITERACKI

ENA

ROK VI

NR **3-4**

ZESZYT POŚWIĘCONY LITERATURZE LUBELSKIEJ

MIESIĘCZNIK LITERACKI
LISTOPAD - GRUDZIEŃ 1938 R.

TRZEŚĆ NUMERU TRZECIEGO-CZWARTEGO

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA	Bystrzyco, młodości rzekol	str. 33
	Z dziennika — — —	" 34
JÓZEF CZECHOWICZ	Poeeci — — —	" 34
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Człowiek — — —	" 35
JÓZEF ŁOBODOWSKI	O rękach — — —	" 35
KONRAD BIELSKI	Erotyk jesienny — — —	" 36
ADAM SZCZERBOWSKI	Omar Khayyam — — —	" 36
ANTONI MADEJ	Dzieciństwo — — —	" 38
WŁADYSŁAW PODSTAWKA	Przedśpiew — — —	" 39
KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI	Nel mezzo del cammin — — —	" 40
HENRYK DOMIŃSKI	Modlitwa — — —	" 40
	O poecie — — —	" 41
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Wokół Garlucha — — —	" 43
JERZY PLEŚNIAROWICZ	Dysonans — — —	" 46
WIKTOR MATYSZCZUK	Przysposobienie poetyckie — — —	" 47
WAĆLAW MROZOWSKI	Wiersz o śmierci — — —	" 49
WAĆLAW IWANIUK	Pamięć — — —	" 50
ZDZISŁAW POPOWSKI	Z „Tryptyku” — — —	" 50
	* * — — —	" 51
WIKTOR MATYSZCZUK	Elegia prowincjonalna — — —	" 51
IGNACY IGOŃ	Tragiczny rok — — —	" 53
WITOLD KASPERSKI	Maria — — —	" 54
WILIAM BLAKE	Noc — — —	" 56
EDGAR ALLAN POE	Przyśnienie w śnie — — —	" 56
GÉRARD DE NERVAL	Czarna plama — — —	" 57
	El Desdichado — — —	" 57
JEAN MORÉAS	* * — — —	" 57
JOSE MARIA DE HEREDIA	Po bitwie — — —	" 58
	Ronsard — — —	" 58
	Muszla — — —	" 58
JOHANN WOLFGANG GOETHE	Pieśń nocnego wędrowca — — —	" 59
RAINER MARIA RILKE	Adwent — — —	" 59
KLABUND	Dzwon — — —	" 59
	Nad jeziorem Lugano — — —	" 59
	Wędrowka nocą — — —	" 59
LUCIANO FOLGORE	Rozbieranie się — — —	" 60
ENRICO PEA	Rosalbina — — —	" 60
JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI	Głodna ziemia — — —	" 61
NIKOLAJ JAZYKOW	Pieśń — — —	" 67
MICHAŁ LERMONTOW	I ja lubilem... — — —	" 67
JEWGIENIJ BARATYŃSKIJ	Były burze... — — —	" 68
FIEODOR SOŁUGUB	Miesiąc Pański... — — —	" 68
NIKOLAJ NIEKRASOW	Gdy groźnie brzmi... — — —	" 69
WALERY BRIUSOW	Do poety — — —	" 69
MARINA CWIETAJEW	O pustki oczu... — — —	" 69
OTOKAR BRZEZINA	Hymn wstępny — — —	" 70
	Trochę ważniejszych dat — — —	" 71
	Noty — — —	" 72

Wkładki linorytowe ZENONA WAŚNIEWSKIEGO: Stary Lublin

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym. Numer okazowy „Kamenu” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 60 gr.

Łączono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.

K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK VI LISTOPAD-GRUDZIEŃ NR 3-4 (53-54)

BYSTRZYCO, MŁODOŚCI RZEKO!

Księżyc na Wisły nurt pomost rzucił,
głosem jak pieśń rzeki szklanym
srebrnie, kusząco nuci:

„Patrz, to nie Wisła jest, to Bystrzyca,
czas wiąże, by nie uciekał,
łąk twoich młodych rzeka“.

Krok jeden—pomost w srebrze kowany,
wstecz chodzi zegar księżycy,
chwila spętana czeka.

Jak pocisk w szum się wdziera szuwarów
łódka, powiek drgnieniem parta,
łąki odwraca karty.

O, prędzaj, prędzaj! Tam za zakrętem
jest jedno miejsce pamiętne,
ławka pod wierzbą starą.

Rumak szarpnięty nagle wędzidłem,
kajak zatrzymał się w biegu.
Wierzbo! on ją porzucił...

Rzeko! Bystrzyco! Zwodnicze sidła!
Noc srebrna nad Wisły brzegiem,
księżyc pieśń szklaną nuci.

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

I

Nad bystrym, burzliwym potokiem
 zawiesiłeś z obłoków w obłoki
 most misterny w złocie kowany.
 Cieniu, cieniu zadumany,
 zapatrzonej w dalekie jutrznie,
 cieniu chwiejny z pustymi dłońmi,
 czy słyszysz, jak szumią tonie?
 Potok śmieje się, łka, groźbą huczy,
 przęśła drgają pod pięścią fali.
 Cieniu, nachyl się, nachyl, nachyl!

II

Miele młyn niestrudzony bezlitośnie ziarno.
 Dorodnym ci się zdało, takie krzepkie, złote!
 Sypią się miałkim pyłem myśli, złudy, wzloty,
 wichur czasu je chwytą nieporadne, kruche.
 O, chlebie z białej mąki, o, razowy, czarny,
 któryś karmić zgłodniałe miał łaknące duchy!

III

Jak piłkę rzucamy za siebie ludzi i czas,
 na dnia wczorajszego pogrzebie świat nowy rodzi
 się w nas.
 Coś ukochał--legenda, o coś walczył--na stos,
 ludzie byli nie będą, z innymi zwiąże cię los.
 Biada ci, jeśli z tęsknotą wstecz spojrzysz na wczoraj-
 raj-mit,
 kamieniem, Żono Lota, ujrzy cię jutra świt.

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

P O E C I

Oxymoron: zwycięstwo klęski, Waży się wszystko w dół i w górę.
 Zachwyt oniemia nas a razem złotoustymi jednak czyni.
 Potośmy tu skrzydlatą chmurą, potośmy tu z promiennym sznurem
 od źrenic do sezamu skrzyni.

Gdy się pomyśli to, zapachnie zmarszczona twarz ziemskiego
 globu
 a firmamentu łuk się schyli (tak żeńcy gną nad sierpem ciało)—
 Ach, rymem pszczoły drgać gorąco! Ach, poetyckich stem sposo-
 bów
 przez okruch wypowiedzieć całość!...

JÓZEF CZECHOWICZ

C Z Ł O W I E K

W czarnym bursztynie nocy,
ciężkim, kamiennym,
żywe, bezsenne
jądro
pracą proroczy mądrą:
mózg.

W czarnym bursztynie śmierci,
nieważkim, suchym jak ogień,
— bluzg, bluzg —
sokiem bluźnierczym
broczy i bucha
żywotna mucha:
serce.

TADEUSZ BOCHEŃSKI (Lublin—Zakopane)

O RĘKACH *)

Ręce proszące, ręce kuszące,
ręce węzłami groźby ściśnięte,
ręce zgrubiałe, czarne i białe,
ręce przeklęte i święte.

Ręce wysmukłe, ręce kryjące
słodycz dojrzałą i biel dziewiczą,
ręce bławaty rwące na łące,
ręce, co skamlą i krzyczą.

Ręce, co zgubią, ręce, co znajdują
i wybudują lipową chatę,
ręce spocone nad chleba pajądą,
o, ręce, ręce sękaty.

Ręce, na które cisza się kładzie,
ręce, co biją, ręce, co proszą,
o, ręce, które na barykadzie
czerwony sztandar podnoszą.

Ręce lubieżne, żółte i śnieżne
i te, co głoszą nam pax vobiscum,
ręce czujące, ręce drapieżne,
ręce walące po pysku.

Ręce, na których krew się szkarłatni,
ręce w pisaniu drżące poecie,
o, kiedyż, ręce, w uścisku bratnim
ogromny glob opaszecie!

JÓZEF ŁOBODOWSKI

*) Ponieważ autor nie nadesłał nam nic do lubelskiego zeszytu „Kamień”, przedrukowujemy mało znany wiersz poety z tomu „O czerwonej krwi” 1931 r.

EROTYK JESIENNY

W pasiece pszczołodzwonnej, w leszczynie-krzewinie
Upojony zapachem orzechów i miodu
Wyśpiewałem te zwrotki o jasnej dziewczynie
Miłującej weselem od wschodu do wschodu.

Drżały białe kołpaki na srebrnej gałęzi,
Pokłonił się żywopłot od pajęczyn siwy,
Rwały się dziwne słowa jak wiatry z uwięzi,
Leciały przez ogrody otrząsając śliwy.

I w posmaku owoców dojrzałych i białych,
Jędrnych jąder orzechów, zgryzionych zębami,
Czułem wilgoć całunków jak niebo dojrzałych,
Woniejących weselem pszczelnym i kwiatami.

Czułem wonie zawrotne miłosnych uniesień
I ręka ma od słońca jak ścierń ogorzala
Błogosławiła gestem poganina jesień,
Która osiąść mi dała owoc twego ciała.

1922 r.

KONRAD BIELSKI (Krasnystaw)

OMAR KHAYYAM

Garnearzam skład nawiedził wczoraj na bazarze
i patrzyłem, jak prochem zręczne dłonie maże.
Widzę — ci ja — choć głupi ludzie nie widzą —
że to ojca mego prochy gniotą garnearze.

Rubayat

Kości ojca mojego spróchniałe
i w proch starte rękawem olbrzyma
na warsztacie garnearza ujrzałem.

I pomyślcie: ja, Omar, zadrzałem
i lęk serce mi śmiałe poima
i przekląłem los i próżną chwałę

i chłód komnat ukrytych przed spieką
i kochanki płomienne uściski
i świat cały skryty pod powieką.

— Tak to — sercu mówiłem — daleko
a tak blisko od dziecka kołyski
do grobowca nad szumiącą rzeką?

Oto-m doszedł do prawd wszelkich sedna
i już wszystko pojąłem od razu,
o, mądrości jedyna i biedna!

Grób z kołyską, dzień z nocą się jedna
na płaszczyźnie spólnego obrazu
i przepaści otwarte bezedna.

O rodzica prochy wtarte w glinę!
Wiatru wianiem przewiałem przez życie
a jak fala tak rychło przepłynę!

I w zaprzeczeń żałobną godzinę
klątwy w niebo miotalem obficie
o przyczynę winiąc—bezprzyczynę.

—Na co w cieniu meczetów pokłony
i szept modlitw ciekący bezmyślnie
i kark kornie przed pustką schylony!

Wokół pustyń bezmiar nieskończony,
gdzie żywota wiecznego nie tryśnie
strumień gajem zbawienia wieńczony.

Zbladły gwiazdy na wieczornym niebie,
karawana zbliża się do celu.
Nic cię wchłonie i zagarnie w siebie,

sęp zakracze, piasek cię zagrzebie
i już będzie bracie-przyjacielu,
i już będzie po twoim pogrzebie.

Porzuć próżne z mędrkami dysputy,
kielich ujmij drżącymi rękoma
i pij bracie-przyjacielu półt,

aż w niezdarne skręci cię podrzuty
opętana pragnienia oskoma
i śmiech z warg twych wytryśnie rozruty

z sznurowadła mądrości prawideł
i uleci w niebieskie wierzeje
na wzniesieniu rozłęczonych skrzydeł

śmiech

śmiech z tego, który z nas się śmieje!

ADAM SZCZERBOWSKI (Zamość)

DZIECIŃSTWO

(Fragment z poematu „Zwykła droga“

Zaczęło się tak:

żałobne chorągwie strzępił wiatr,
głos księdza darł niepokój jesieni,
leciały kruki — czarne zimy ptaki,
potem trumna odeszła w nieznany trakt,
zostały mi dotąd po niej w oczach cienie,
nie było już matki.

O, wieczory, jak dymu duszące smugi,
kiedy z lasu zwiezione drzewo trzaska w ogniu kuchni:
szły dni szeregiem długim
skąpo i nieufnie.

Od mrozu skrzypiały gonty w dachach
w ciemne, zimowe noce,
budziłem się i wyęczałem oczy,
jeżył mi włosy strach.

Najgłośniej mówiła zima srebrnym śniegu blaskiem,
najmocniej wabiły olchy, stojące nad potokiem,
ich drobne szyszki na tle białych obłoków
migotały jak czarne gwiazdki.

Drogi wtedy się kładły myślom nieudolnym
w świat, który dopiero stawał się prawdziwy.
Przeglądałem się w zdumieniu kwiatom polnym,
wierzbow, grus-zom i iwom.

Te chwile rozsypują się jak pęk promieni,
ileż barw ma wiosna i lat,
ileż szumu i zieleni
w sadach przy chatach.

Sny kołyszają długo i odważnie,
przechodzi się śródkiem marzeń z podniesioną głową,
każde słowo
jest jednym z cudownych wydarzeń.

Krwawe głogi przydrożne pachną cierpko,
miąższ tarek rozplywa się na języku jesiennym smakiem.
W domu pusto i głodno,
za domem blisko

pól szlaki —
kartofliska —
rozwłócza się po bródzjach wzrok,
szukając żmudnie niewyzbieranych ziemniaków.

Jakże przyjemnie, gdy o szyby siępi deszcz,
gdy w kominie wyje wiatr,
ziemniak pieczony jeść
i słuchać, jak trąbka żołnierska dzwoni
dalekim marszom w takt.

Bo było tak:
żołnierze uczyli się na trąbkach grać
koło nas na cegielni.
Wtedy mogłem w oknie godzinami stać,
szumami dźwięków uszy mi wypełniał
zewnątrzny świat.

Dzieciństwo trwało.
Na wschodach i zachodach ostrzyły się ócz spojrzenia.
Przemawiała do serca ziemia
uroków swoich chwałą.

ANTONI MADEJ

PRZEDŚPIEW

Tu nie oddechy wiatru. Nie borów granie,
ani me czoło żar słońca białego rozpala.
Usta spękane i martwe. W kielichach malw
pełniej, obficie rosy!.. Lecz dobiegnie z dała
trudny, chropawy mój śpiew—gorzkie wyzwanie
dzieciństwu, wiośnie i męce zwolna idących lat.

Pełne jest serce moje, żar w nim i moc głucha.
Ustom nadążyć niesposób.—Burza nadciąga!..
Dudni bębmem weselnym podniebny grom.
—Czasu onego przystawam, milczę i słucham:
trzeszczą bierwiona błyskawic w niebieskich sągach,
chwieje się, rzezi domu zrab.

Wtedy muzyką wspaniała—groźnie i hucznie
wychodź, poeto — minstrelu prosty śpiewem!..
Świat twój, ziemia jest twoja — posłuszny czas.
—Huczy spieniony wicher i pierzchają uczni...
W pustce--z piersią odkrytą—tracisz pieśni jak drzewo,
jak dąb roniący kwiaty w pustynie miast.

WŁADYSŁAW PODSTAWKA

NEL MEZZO DEL CAMMIN

Cóż z tego, że rozumiem w puszczy chwiejbę drzew,
że mą radość zakląłem w granitowej górze
i że gwiazdy zwierzają mi swój drżący śpiew:
żaden wiersz mój nikogo nie urzekł.

Smaga mnie krzywdy ludzkiej okrwawiony bat
i każdy jęk najcichszy wciska mi się w uszy,
cóż z tego, że mnie boli przydeptany kwiat:
żaden wiersz mój nikogo nie wzruszył.

Mój ojciec wydarł śmierci tyle ludzkich żyć,
ja nic nie uczyniłem, by człowiek nie krwawił,
cóż z tego, że potrafię rym z rymami zwić:
żaden wiersz mój nikogo nie zbawił.

Na biurku leży kartek rozrzucony kram,
a serce wystukuje: słowa, słowa, słowa...
W połowie drogi stojąc cóż uczynić mam,
czyżby wszystko rozpocząć od nowa?

Więc da capo al fine... Ty mi, Muzo, szczęście!
Jak to zwykle się mówić?... „Z tarczą lub na tarczy“.
Mówisz, wiersze to mało?... Znajdzie się i pięść.
Tylko jeśli mi sił już nie starczy?...

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI (Chełm)

MODLITWA

Jakie są twoje oczy, Emilio? Pochylona nad balią rzucasz
na mnie od czasu do czasu szybkie spojrzenie i znów ciemne
żrenice topisz w białym obłoku piany. Ten krótki moment,
gdy wzrok nasz na drżącej linii promienia lampy naftowej
znajduje punkt styczny, wystarcza zupełnie, abym pojął ohydę
swych grzechów.

Ach! Emilio, odkąd ty panujesz w tej izbie podłej, przy-
pominającej nikczemność naszego istnienia, zapomniałem o Bogu.

To do ciebie płyną moje modlitwy, na twoich starczych
rękach wieszam słowa gorące. W tej samej chwili ty rozwie-
szając bieliznę myślisz tkliwie: jakież on podły, ten mój wnuk!

Nie znam twoich oczu, Emilio! Mimo swych lat siedem-
dziesięciu w żrenicach zachowałeś ogrody wiosenne.

Trzeba długo żyć, trzeba mieć w sercu wiele pogardy dla

świata i sporo miłości dla ludzi, aby takie światła zachować pod chmurną brwią.

Emilio, która jesteś zwykłą praczką, której dłonie żre mydło, która zwątpiłaś o gwiazdach i zwierzętach, za tobą idę, za wysokim szumem twojej krwi biegnę, aby odnaleźć w sobie przeszły i przyszły czas.

Emilio otoczona zielonym warzywem, Emilio napełniona rozmową straganów, Emilio schylona śpiewem nieszpornym, Emilio z kościanym różańcem w dłoni, daj mi srebrny liść miłości, oświeć mnie jak latarnią swą ciemną źrenicą, o Emilio oczyść mnie, odkup mnie żarem swych oczu, doświadczeniem pokoleń, które w tobie swój początek i kres znajdują, które przez ciebie płyną jak nieujarzmiona rzeka.

Emilio moja niepokochana, Emilio, zakonie mojej wiary.

HENRYK DOMIŃSK

O P O E C I E

Łamałem właśnie w drukarni gazetę, kiedy przybiegł chłopiec:

— Telefon do pana...

— Kto mówi?

— Ten pan nie chce powiedzieć swego nazwiska.

Zaintrygowany podszedłem do telefonu. Była to rozmowa rzeczywiście pełna niepokoju. W słuchawce usłyszałem głos niski, melodyjny, jakby z lekka zasmucony.

— Pan Domiński? Mówi Bronisław Michalski, ale cóż, ja pana nie znam, pan mnie nie zna...--Po tych słowach nastąpiła cisza. Gdzieś w nieznanym punkcie miasta Broniek, uwieszony przy aparacie, raz i drugi ciężko westchnął. Musieliśmy się jednak jakoś poznać. Opisał mi swój dokładny wygląd. Kiedy w kilkanaście minut później spotkaliśmy się w mieście, byłem z lekka nim onieśmielony. Broniek, o którym w Lublinie chodziły legendy, o którym toczyliśmy niejednokrotnie długie rozmowy, Broniek oddawna narysowany w mojej wyobraźni, odbijał zupełnie jaskrawo od Bronka żywego, realnego, ściskającego w tamtej chwili moją dłoń. Spod okrągłego kapelusza patrzyły na mnie bez cienia niepokoju piwne, wesołe oczy. Na twarzy jego grał lekki uśmieszek. Tamten pierwszy strach z przestrzeni międzytelefonicznej zginął bezpowrotnie. W parę godzin później byliśmy już zażyтыми przyjaciółmi. Broniek przyjechał do Warszawy. Miał szerokie plany. Każdy kieliszek odsłaniał coraz szersze, coraz bardziej jasne horyzonty. W pewnej chwili złapał mnie za rękę:

—Wiesz, muszę sprowadzić do Warszawy Samuelka. Będę go utrzymywał. I Kazia Wójcika—dodał po chwili—co oni będą robili w tym Lublinie?.. Rozpiją się tylko z nudy.

Podszedł kelner i wytrząsaliśmy z kieszeni ostatnie monety na zapłacenie rachunku. Broniek był wiecznym fantastą. W latach następnych, gdy zamieszkał z nami, poznawaliśmy jego nagłe emocje, olśnienia, pomysły. Żył chwilą. Porywały go światy nierealne, marzenia dalekie. Niesłychana wrażliwość podsuwała mu ciągle nowe pola widzeń, odsłaniała przed nim koncepcje niemożliwe do spełnienia, ale mające jakiś czar magiczny. Jego humor, ujmujący sposób obejścia, serdeczność sprawiały, że wszyscy go lubili, otaczali szczerą przyjaźnią. Miał szczęście do ludzi. W sobie tylko wiadomy sposób umiał zjednywać świat. Ale obok pogody uśmiechów, prócz cygańskiego romantyzmu, tkliwych i sentymentalnych nastrojów, które wywoływał, były w nim inne sprawy, groźne, tragiczne.

Nie zapomnę nigdy tej sceny, jak raz przyszedł do mnie Stasio Piętak prosząc, bym mu pomógł Bronka zaprowadzić do domu. Siedział w jakiejś podrzędnej knajpie kompletnie nieprzygotowany. Zrobił na mnie wówczas wstrząsające wrażenie. W tamtej chwili pojąłem, że przyczyny pijaństw Bronka wywodzą się z głębokich urazów psychicznych. Ta twarz zazwyczaj młoda, piękna, postarzała nagle, wykrzywiona grymasem bólu. W oczach czaiło się zwierzęce przerażenie. Ręce bezwładnie opuścił na stół takim gestem, jakby spadł nań niespodziewany cios i znikąd już nie mógł oczekiwać ratunku. W tym stanie obnażenia wewnętrznego szło od niego wielkie cierpienie. To nie był człowiek pijany.

Po raz pierwszy pomyślałem wtedy o nim inaczej niż się myśli o miłym przyjacielu.

Przed kilkoma dniami, w Dzień Zaduszny, z Wacławem Iwaniukiem pojechaliśmy na cmentarz odwiedzić mogiłę Bronka. W długim szeregu grobów ten jeden wydał się nam najbardziej opuszczony. Z kamiennych płyt, z kopców ziemi, szły łuny światła, wieszając się obnażonych gałęzi drzew, czerwieniąc szumiący jesienią na ścieżkach liść. Wszędzie było pełno ludzi. Tablicę na grobie z nazwiskiem Bronka zmyły deszcze trzech lat. Znać na niej tylko niektóre litery.

Jak za życia był samotny mimo wszystko, tak i na cmentarzu czas począł zacierać ślady po jego istnieniu. I właśnie z tym się najtrudniej pogodzić. Wśród naszego pokolenia poetów mało było i jest takich, którzy by jemu mogli dorównać. Krytyka reklamująca z nadmiernym hukiem utwory w wielu

wypadkach bardzo mierne, milczeniem zasypała jego pośmiertny tom wierszy. Ukazało się zaledwie kilka recenzji i garstka wspomnień ogłoszonych w rocznicę jego zgonu po czasopismach przez najbliższych przyjaciół. A przecież Michalski był dużą indywidualnością poetycką. Wiersze Bronka nie potrzebują naszej koleżeńskej legitymacji. Ich piękno do czułego czytelnika mówi samo przez się w sposób urzekający. Sam siebie nazywał czarodziejem ciszy i smutku, piewcą kwitnienia i śmierci. Śmierć w tych wierszach, gorzka konieczność przemijania mają metafizyczny wymiar. W spokojnych, opanowanych rygiem formalnym strofach tętni straszliwy żywioł, który latami całymi rozdzierał jego życie, aż je sprowadził ku dobrowolnej zagładzie.

Bronek był typem liryka prezentującego najczystszą, a zarazem najbardziej autentyczną poezję. Każde niemal słowo, każdy spadek zdania tkwił w głębokich, niefałszowanych źródłach przeżyć. Być może dlatego, że poezję nierozdzielnie związał z życiem, skończył tak tragicznie. Liryka była dla niego powołaniem wielkim i bezinteresownym. Jedyną, najwyższą wartością. W czasach dzisiejszych pełnych chaosu, gdy wzajemna nienawiść narodów zbroi społeczeństwa w hasła wzywające do walki człowieka przeciw człowiekowi, gdy sprawa sztuki przeniesiona została na daleki plan, on ze swoją naturą błuszczowatą, z temperamentem cygana-artysty, musiał zginąć. Może w naszej rzeczywistości był człowiekiem zbyt słabym, aby zapewnić sobie egzystencję. O tym myślałem stojąc nad jego mogiłą w trzecią rocznicę śmierci.

Ale myśleć tak nie można. Krytycy powinni wziąć do ręki tom wierszy Bronisława Michalskiego „Spotkanie z brzozą.“ Ich rzeczą jest poznanie Michalskiego, uprzystępnienie tej przejmująco pięknej poezji czytelnikowi.

Byłby to jeden z czynów prawdziwie pożytecznych i pozytywnych.

HENRYK DOMIŃSKI

WOKÓŁ GARŁUCHA

(fragment „Dziennika Tatrzańskiego“)

9.VIII.

Wychodzę rano ze schroniska: wiatr. Strzępy wczorajszej chmury kręcą się nad głową. Równie w słońcu. Płaty świeżego błękitu wiszą nad Wielickimi Granatami. Soczyście zielona woda w stawie. Efektowna siklawka szumi, z wyższego płynąc piętra doliny. Pod Mokrą Wantę podchodzę. Czarna jest, a

woda się z niej kroplami rzuca rześzystymi, niby deszcz. Kępa fioletowawych dzwonek trzyma się skały, jak strzęp ciepłego sentymentu.

Dołem, niżej ścieżki, mnóstwo kwiatów żółtych i różowych.

Zakosy wznoszą mię na próg doliny. Siklawa znikła, a przed oczyma łąka wielka, Gałuchowi i Wielickim Granatom do stóp się ścieląca: Wielicki Kwietnik. Ławą stoją tojady; tuż obok łań omiegów, rosłych, jaskrawo żółtych gwiazd. Są i białe, promieniste jastruny, których rasową wielkość niemal zmysłem dotyku odczuwam. Słońca tylko brak jeszcze w dolinie: nie dopuszczają go tu ściany Wielickich Granatów. Potok zmienił się w stalowe, ociągliwe rozlewisko, jakby go te kwiaty urzekły, jakby mu junacze serce nieporadną omotały miłością.

A chmura kipi, krąży wokół Gałucha, gęstnieje i rośnie. W powietrzu chłód. Na piargach, które Gałuch zapuszcza w dolinę, błysnęła smuga światła i zgasła. Napływa mgła. Odymia mię siwymi kłębami, kiedy skręcam pod Wielicką Próbę.

Zwie się tak pionowa, gładka ścianka, pierwsze brodło Gałucha. Podcięła stok i żlebek nad piarżyskiem. Przejście ułatwione kłamrami i sążnistym łańcuchem.

Za Próbą zaczynają się żmudne zakosy. U czarnej pniesz się ściany, którą podmywa struga wodna, porem głębokim ciekąca. W skałach jednak tylko wtedy jest rozkosznie, gdy świeci słońce. Dziś tu chmury obłudny tańczą taniec, a wiatr im gwizdze zimny, ostry, oddech człowiekowi tamujący.

Jestem uparty i wznoszę się ciągle w górę. Szare, jednostajne skałki, którymi gęsto stok spryszczony, zdają się nigdzie się nie kończyć. Wiatr wścieka się. Chmury kłębią się, jak opętane. Czasem turni skrawek niewielki zobaczę, czasem Kwietnik zamajaczeje w dolinie, lecz męty pary są niewyczerpane. W powietrzu nie szaro już jest, ale gniado i całkiem beznadziejnie.

Nadwąlałam uporem dźwigam się wyżej. Powietrze coraz wilgotniejsze, skała mokra i śliska. Osiągam w końcu Przełęcz nad Kotłem i doszczętnie tracę otuchę. Po stronie drugiej jeszcze ciemniej, jeszcze bezkształtniej, jeszcze beznadziejniej. Zawrócę.

Lecz nagle bunt ambicji:

-- Nie dojdiesz?

— Nie dojdę — odpowiadam.

Bo i po co iść? Tu nic nie widzę i ze szczytu nic nie zobaczę, a siedzieć tam na szczycie, marznąć w lodowatym

wichrze i czekać końca mroków nie zdaje mi się horoskopem ponętnym. Wracam stanowczo.

Im niżej, tym cieplej i widniej. Nad Kwietnikiem matowo, nad siklawą jasno, koło schroniska słonecznie.

Nie dało się przez Garłuch w Dolinę przejść Batyżowiecką; pójdę inaczej. Ominąwszy schronisko, puszczam się jezdnią drogą westerowską. Po kilku godzinach oemy, wichru i jadowitego chłodu cieszę się serdecznie słońcem.

Droga jest jak dobrze wychowane dziewczątko. Nie weźmiesz go w ramiona, nie utulisz. Mile tylko porozmawiasz i koniec. Tak i tutaj: piękna kosówka, piękne drzewa, gładka, biała, wolno i oględnie w dół opadająca jezdnia. Lecz rozstajemy się niebawem: jezdnia dąży wytrwale ku równinom, a ja sobie rudą od cetyny ścieżką zbaczam w strzelisty las.

Nie widać już równin i dalekich, w słońcu zanurzonych osad na równinach. Cisza i cień. Lecz wkrótce zmiana: ścieżka wydobyła się na światło i nosić się zaczyna pałakami po rozrosłych garbach górskich, którymi ku południu opadają chmurne wyniosłości Garłucha. Trawa, kosówka, wielkie głązy. Trawa jest bardzo bujna, a sypka, jak włosy po szamponie. Na ścieżkę splywa oblistymi kędziorami szarawosrebrnej zieleni. Obuwieciem chesana, tak szeleści, jak gdybyś piasek przesypywał drobny, suchy, obfity. Kosówki prawie oceany. Wonieje w słońcu dziką wonią, połyskuje zuchwale, niby mosiądz. Piarżysk wielkich ozory leżą tu i tam szeroko, białe od światła, w gardle srogim Garłucha na wieki osadzone.

On ciągle w gęstej chmurze. Uparty. Ale i równiny zaczynają się chmurzyć. Osiągnąwszy grzbiet Suchego Wierchu, widzę deszcz nad Szczyrbskim Jeziolem. Mętne, szarogranatowe widmo tańczy nad koliskiem wody i czerwoną dachówką domów. Sunie na wschód. Jak prędko! Gdzie przed chwilką słońce grzało i pola pięknie złociło, wędruje oto zlewa. Na szczudłach idzie, na szczudłach tańczy, na szczudłach się zatacza.

Jeszcze jeden pałak drogi i otwiera się przede mną górna skalna część Doliny Batyżowieckiej.

Kocioł. I szczere niepodobieństwo. Kończysta w ciężkiej chmurze, gromy huczą i burza się za chwilę rozpęta straszliwa, lecz oto skały granatowe są i spokojne, a drobne się z daleka wydają, niby dzieci. Jakiż czar niebывały, jaka mieszanina grozy przeraźliwej z ciepłą, rozkoszną melancholią!

Jestem osaczony. Znad Kończystej burza na mnie jedzie z piorunami, od południa ulewa. Widmo, które przed chwilą oglądałem z oddalenia, jest już tu. I jest już ciałem. Szum

zbliża się. Niebawem grube strugi wody lunęły mi na głowę.

W Batyżowiecką pod pioruny nie pójde. Do stawu i ko-
liby jeszcze daleko. Raczej ku Wielickiej zawrócić i tamtędy
na Westerów uciekać. Garluch sroży się także. Błyskawice
szarpia powietrze. Piorunów coraz więcej. Runął grad.

Ścieżka, którą niedawno w górę szedłem, znikła pod wo-
dą. Niebo stacza na ziemię litą rzekę, nie deszcz. W butach
jeziora. Wiatrówka przemokła. Istna kąpiel w pełni uzbrojenia
turystycznego.

Zszedłem się znów z wesołą drogą westerowską. Mokra.
Ale że deszcz za chwilę ustanie, to też prawda. I rzeczywiś-
cie: nim do mostu na Wielickiej Wodzie dotarłem, ustał. Nie-
bo trysło najczystszy błękitem, słońce ogniem. Zatrzymuję
się u mostu, aby opróżnić z wody obuwie i ubranie. Tak
zresztą jestem głodny, że muszę zajrzeć do plecaka.

Gorąca herbata smak ma wyśmienity. Ostry głód mordu-
ję jednak zasobami znacznie treściwymi. Przesuszony, ruszam
po godzinie na Westerów.

Nadwieczorna, bladżółta pogoda. Droga biała, gładka
i tak lekka, jak modrzewie, których las rośnie tuż na prawo.
Wesoło biegnę na dół, jak gdyby mię za rękę bóstwo przy-
milne prowadziło.

— — — — —
TADEUSZ BOCHEŃSKI

DYSONANS

lokomotyw skręca się gwizd w bat
strumyk tor to krwi to towarowe wagony
strumyki dwa

drogą drogą kopyt grad
okna otwiera zdziwione
przestrzeni karta rozdarta
na płocie cień sęk złoci
tak tartak ciszę tarł tak
a z ciszy tyle trocin
będzie deszcz deszcz będzie deszcz
parno jaskółki ciska nisko
niżej jeszcze w błysku odpryskach
wodospadu okrzyk

chyba już wiesz
deszcz chwil wydarzeń
wczoraj dziś jutro
słońce młotki kruszą kamieniarze

JERZY PLEŚNIAROWICZ

PRZYSPOSOBIENIE POETYCKIE

Przed dwoma laty Stanisław Czernik w felietonie o „poezji krajoznawczej“ napomknął marginesowo, że w Chełmie jest „podchorążówka poetycka“. Obecnie już jej nie ma, a absolwenci są w apollińskiej brygadzie z różną lokatą i awansem. Czy ich funkcje są ważne lub choćby coś warte, niech są wydadzą kompetentni. W paru wypadkach można tu postawić wróżebny znak zapytania, lecz przepowiednie nie są żadnym zapewnieniem i prawomocną kwalifikacją. Można za to bez omyłki i skrupułów zaopiniować szkołę, z której wyszli.

Żaden resort kultury nie ma tak samoucko przygotowanych pracowników jak literatura. Z dawien dawna wszystką zasługę i odpowiedzialność za walory literackiej majsterki zapisywano na rachunek iskry bożej. Tradycja i moda wymagały, by poeta był gościem jeśli nie niebios, to przynajmniej podniebia. Dopiero w naszych czasach wyrobiono i rozpropagowano pogląd i stosunek rozumny, naturalny i trzeźwy. Ale i dziś jeszcze bardzo często dla przeciętnego inteligenta poezja polska to romantyczna trójca wieszczów, znana z wypisów i ze... słyszenia. Jeśli coś więcej, to niewiele. Nie dziwota, że tak, skoro w naszych zakładach naukowych poezja została sponiewierana w funkcji utylitarne go dydaktyzmu, skoro liczni pedotribowie zamiast analizować konstrukcję metafory i koloryt poetyckiego obrazowania, wyszukiwali umoralniające aforyzmy, dłu bali patriotyczny tynk „rozśpiewanej chałupy“ polskiej i swojej.

A właśnie w prowincjonalnym Chełmie zaczęto inaczej. W pierwszą rocznicę śmierci Żeromskiego uczniowie tutejszego seminarium założyli koło literackie. Za pieniądze różnym przemyślem zebrane kupili pokaźny stosunkowo księgozbiór. Rzeczy współczesnych poetów i pisarzy polskich oraz obcych. Czytali, dyskutowali, recytowali systematycznie i gruntownie pod kierunkiem, przy pomocy i radzie nauczyciela. Jak w każdym zespole młodzieży byli tacy, którzy łapali za własne pióro. W innych warunkach prawdopodobnie pisaliby oni à la Lenartowicz. Tu jednak skamandryci, kwadrygiści i awangardystyści byli dobrymi znajomymi. Ta znajomość obowiązywała.

Pierwszą liryczną jaskółką z tego gniazda był Jan Szczawiej. „Miłość tworząca“ i „Gałąź czeremchy“ są kunsztowną liryką szczerze doznanych przeżyć sfotografowanych subtelnie i poprawnie w starannych wierszach o wsi i jej niedoli, o przyrodzie i miłości. W rytmicznym kołysaniu inteligentnej zwrotki faluje spokojny, pogodny pejzaż psychiki wrażliwej na

świat okoliczny, a jeszcze bardziej chyba na aspekty swej twórczości. Nawet w prometeizmie „O chleb powszedni“ pilna dbałość o formę nienagannej wypowiedzi. Większym pożytkiem dobry wiersz, niż bezużyteczne zatargi z bóstwem.

Po Szczawieju debiutował Witold Kasperski „Dębowymi progami“ i „Falami mojej rzeki“. Światopogląd zbiorzków w kolorze metafizycznych niepokojów. Nawet sprawy społeczne rozważane na płaszczyźnie obowiązujących norm religijnych i etycznych, choć ich rodowodu należy szukać gdzie indziej. Jest tu coś z chłopskiego instynktu, który szuka dla swej niedoli sprawiedliwości w instancjach wiecznych. Toteż zbiorki Kasperskiego można zarejestrować do katalogu poezji chłopskiej.

Wacław Mrozowski ogłosił drukiem „Mosty nad życiem“, „Rzeczywistość“ i „Doبرانoc... dobranoc“... Te trzy zbiorki to notatki poetyckiego—w zdewaluowanym znaczeniu wyrazu—myślenia, poetyzowania. Liryka w popularnym wydaniu do użytku szerszej publiczności. Początkowo brawura i prymitywizm, potem eklektyzm tematyki i nastroju, szukanie swojego języka w słowniku znanych poetów, którzy istotnie smakują kwalifikowanemu czytelnikowi.

Staranniej już wybrał się w odwiedziny do poezji Zdzisław Popowski z „Pieśniami uroczystymi“. Chwilami może mniej uroczyście, a więcej patetycznie, ale rzetelnie i bez zakłamania sławiąc młodymi wierszami to, co sławić warto. Szeroką perspektywę pozamiejskiego krajobrazu, gdzie „maków czerwony taniec na smutne wzgórza się wdarł“; morze, na którego nocny szum „echem klęski odpowie miasto strzaskanych fregat“; chwałę legendarnych bohaterów i zawsze aktualnej bezosobowej sławy. To są rzeczy, o których pisałoby się dniem i nocą.

Pierwszeństwo w tej gromadce należy oddać Wacławowi Iwaniukowi, którego „Pełnia czerwca“ jest szczerze zmontowaną konstrukcją przedestylowanych obrazów o pięknych ujmująco i ujmująco prawdziwych wymiarach. Przemysłana a tym samym trafna metaforyka. Przy czytaniu w niektórych miejscach bierze oskoma przeczytać raz jeszcze. Tego nie można powiedzieć o wierszach wszystkich debiutantów, którzy ostatnio swoje zbiorki wydali.

A ileż to spośród tych zbiorzków byłoby więcej coś wartych, gdyby ich autorzy mieli życzliwą radę, solidną naukę, która rozbrykaną elokwencję ujęłaby w dyscyplinę poszanowania słowa pisanego i odpowiedzialności za nie. A wtedy na pewno nikt by nie wymiatał śmiecia na rynek księgarski, bo



widziałby jego brzydotę. A przy sposobności wychowałoby się
rozumnego czytelnika, którego tak bardzo dotkliwie brak.
Bo trzeba prawdę powiedzieć, że dziś poezje czytają jeśli nie
zupełnie, to przeważnie tylko poeci. Jest przysposobienie woj-
skowe i rolnicze, przydałoby się i kulturalne. Także potrzebne.

WIKTOR MATYSZCZUK

WIERSZ O ŚMIERCI

Gasną igły sosnowe w brzasku
ogniste rydwany dudnią
w źródle woda
wybucha gładko
pieszcząc się ogniem u studni —
Szkoda,

że nie ma cię matko.

Koniom tańczą kopyta opryskane piaskiem,
gdy chłopiec chłodną dłonią strzeliste grzywy głaszcze.
Kobiecie biodra miedziane kołyszą się jak dzwony
gdy chłopiec stygnie w bólu ich ogniem urzeczony.
Za kratą złote oczy. Ręce jak liany się pną
a oczy patrzą, patrzą—za mgłą, za mgłą, za mgłą.
Pękają gdzieś pod niebem pociski pełne lęku —
i znów z gałązką mirtu podchodzisz do mnie w rękę—
Wonne obłoki płyną i płyną ponad tęczę
a ręce, twoje ręce me czoło mirtem wieńczą.

Jest taka noc wieńczona,
jest sierpień —
w tańczących ogniach kona
żrebię stojące u wrót —
u źródła wodę staruszka czerpie
i noc, ta noc pełna złud,
wieńczona, wieńczona, wieńczona.

Przestały tańczyć konie stojące w piasku do kolan—
z mgieł, z piany, z bronzu,—nad brzegiem kobieta woła.

Odhodzą kolumnami szeregi za szeregiem
zakapturzone cienie—krawędzią, ponad śniegiem.—

Zapada dal w oddale, już północ, północ, północ
odbija z tamtych brzegów pluskaniem wiosel czółno

i płyniesz, płynę, płyniem ku tej bolesnej ziemi
my—miłowane widziadła—topielcy urzeczeni.

WACŁAW MROZOWSKI

P A M I Ę Ć

Ledwie zawoła i już w rozpaczy. —
— Całując drogi i dymy wzgórz
— i wioski, które kłębkami pierze
— pod wzgórzem ziół, pod prochem gwiazd
— letnią fujarką na wargach leżą
— w jesiennych blaskach i prądach zórz.

Ledwie zawoła już ciszę głogów
oplata w prochu wieczór piaszczysty.
Lecz odjechałem i wracać nie chcę.
Żałuję tylko cienistych progów,
fujarek lip, ogarków gwiazd,
których nie widzę w zenicie miast.

Lecz po co wracać i znów wołaniem
zawracać czasy, zwolywać lata.
I tak mi ciężą dawne rozstania —
Ojciec wspominał, matka wspomina
i czeka ciągle szumiącej pieśni.
Lecz pieśń zgubiona wciąż nie nadlata.
I nie ma sławy i nie ma syna.

WACŁAW IWANIUK

Z „TRYPTYKU“

ŚPIEW TRZECI

Już mnie nie zmuszą ani porwą,
nie ufam pieśniom kolorowym.
Młodość nie płynie dziś ku portom,
gdzie tłum pijany i wesoly.

Już mi nie wskażą lśniących skrzydeł,
by Konradowe uczcić męstwo.
Pod piersią noszę miecz i dzidę
i w szumie chwytam zbroi chrzęsty.

Wam, białe dłonie, szept liliowy
i drżące cienie abażuru.
Mnie z nagich piersi twarde słowa
i droga mleczna ponad chmurą.

Tak, trwam. Na skroni świt bieleje,
pod stopy spływa cień nieznacznym.
Nim kropla nocy spłynie w dzieje,
ja serca wasze ścigać zacznę.

DOPOWIEDZENIE TRZECIE

Na wodzie dzień, a łodzie pełne blasku.
Żywicę tchnie płomiennych liści woń.
Kamienny las zatrzymał się na piasku —
strząsając szum i cienie w wodną toń.

Ogarnął czas wiatr burzy i strzępiasty
z opadłych mgieł cwałuje kary koń.
Wstał rycerz snu i wskazał blade miasto,
do łodzi wszedł i wiosło ujął w dłoń.

ZDZISŁAW POPOWSKI

* *
* *

W ramce wiszą twoje oczy smutniejsze od ciszy,
co dzień zachód po ścianie opada—w las.
Noc na niebie srebrnym piórem pisze,
noc układa twoje imię—z gwiazd.

Wiatr roznosi letnie poematy,
mokre światło lampy na rzęsach lśni.
Za chwilę pewnie zejdziesz z fotografii
dotknąć mego czoła łukiem jasných brwi.

Patrzysz w pokój. Żyjesz gdzieś w ojczyźnie mojej.
Nie starcza ci dźwięk ulicy, gdy księżyc spada na bruk.
Nie trudno jest piękno kochać, lecz trudniej pojąć,
gdy się pochmurnym cieniem ściele u nóg.

Światło gaśnie. W ramkach zostają wspomnienia.
Noc kochanka wypuszcza z dąbrowy. Nas dwoje
w pokoju. Czas rozdarty na mrok i milczenie.
Ojczyzna śpi spokojnie i ty w ojczyźnie mojej.

ZDZISŁAW POPOWSKI

ELEGIA PROWINCJONALNA

Zdzisławowi Popowskiemu

Miasto, które jest brudne i którego żal nam,
na myśl spada bolesną martwo ciężkim głazem.
Zwinąwszy w cierpki uśmiech stypę pożegnalną
przyjaciół, wracam do domu, spać z nią idę razem.

Lecz spać nie mogę spokojnie. A więc noc otwieram
na przełaj niepokoju, co wewnątrz tkwi dygotem.
Stoję na progu ciemności. I nawet jestem nierad
światłom zodiaków, chociaż są srebrne i złote.

Sam popatrz. Przeplýwa Mleczna Droga niebieską słodyczą.
Ty nią błędzisz samotny w kurzawie pyłów lśniących.
Zapomniawszy o sobie rzeczy ziemskich potracasz
mijaną małość, która jest ogromna, a której ty nie liczysz.

Pociąg unosi się w przyszłość. Los twój jest
natchnieniem dla gwizdów parowozu. I śpiew szyn
rozczuła równie bardzo jak majowy bez,
który sztubacy kradną dla kochanych dziewczyn.

Maj, bzy i dziewczęta. Młodość rękoma obiema
świeży storczyk wzruszeń do butonierki przypina,
byś się cieszył radością, której zbrakło i nie ma.
Zapał więc lampę, schył głowę i wspominaj.

Wiosna kwili. Dawną włóczęgę bierzesz pod ramię,
spotkanie w miejskim ogrodzie naznacza chwila szczęśliwa.
Biegnąc z papierosem w ustach serdeczna pamięć
na ulicy wita starych znajomych i głową im kiwa.

Potem za miasto, gdzie w rozhukanej zieleni
parada drzew spłaszczone cienie omija.
Tam zgrzani chłopcy, majem po uszy spienieni,
ręce dziewcząt oplątują sobie na szyjach.

Tam głowę wieczorna pogoda pajęczną uwikła.
Wybrnąć nie można za nic z płatawy srebrnych sieci.
Tam ptactwo świegotem tłumaczy liryczny wykład.
I wszystko jest jednakowe: ptaki, młodość, poeci.

WIKTOR MATYSZCZUK

TRAGICZNY ROK

Pamięci Matki

— „Wracaj zdrowy“... Obłok rąk na włosach,
z twarzy spływał cichym strąkiem uśmiech —
Do tej drogi, gwiazdo mego losu —
zwróć mię...

Nie uniosę brzemiennej rozpaczey,
co mi strzępem opasuje pierś.
Nie rozumiem, że kiedyś inaczej
mogłem pisać swój tragiczny wiersz.

Szkoła zimą miała skrzydła białe —
białoskrzydły przelatywał czas,
barwnym pawiem zabaw karnawału
trzęsło miasto pył wieczornych gwiazd.

Nie wiedziałem, że tym samym tropem moich śladów
kroczy chochoł ze smyczkiem na strunach,
ale często noc, stepem snów mię wiodąc,
zapalała mi włosy nad stawem widziadeł
trwogi łuną.

Dość było przestrogi,
kiedy w listach wiała pustka słów,
a ja niosłem wczesnej dumy ogień—
—wypierzonych marzeń złoty nów.

O, jak trudno dziś w sercu pomieścić:
białą ciszę wiejskiego rozdroża,
głów odkrytych postrzępiony tren.

O, jak trudno zrozumieć:
rzekę lat męskich
zwichrzył nieugaszony pożar
mojej rosnącej klęski.

Może więc już dzień blisko,
gdy głowa będzie cichnąc przykryta darnią
i kwiat zmięty ust młodych odda ziemi pocałunki—

Ty mię wtedy przygarnij
w sennej ciszy wiejskiego cmentarza.

IGNACY IGONŃ

Maria odgarnia z czoła płomień. Te włosy były zawsze jej dumą i utrapieniem. Jakże trudno je ułożyć. Buntują się, wichrzą. Buntują się. Bunt—dziwny to wyraz. Właściwie całe życie ludzkie jest buntem, tylko nie wiadomo przeciw komu i czemu. Ale bunt ten—codzienny chleb, płynie w człowieku podziemnym nurtem. Nie wystrzela rozpaczą. A ludzie, ludzie z czasem zatracają swe twarze, stają się znormalizowani, jak szyldy, jak zeszyty szkolne, jak kartki z kalendarza—dni od lat wciąż te same. Zmienia się tylko liczba: dzień, miesiąc, rok. Ale czas jest zawsze jeden. Ten sam leniwy, kulejący stukot zegara tnie i mierzy codzienną, ludzką historię. I na nic się już nie czeka. Przestaje się tęsknić i spodziewać. Stoi się właściwie w miejscu i trwa. Nie żyje się już, bo nie jesteśmy zdolni tworzyć. I nie ma nas: nie wkładamy siebie w nic, co byśmy chcieli uczynić. Słońce wypęzło, wybladło—nie świeci. Cóż z tego, że wiosna? Znowu wiosna. Nie niesie przecież ona nic nowego. Maria przecież wie, że wiecznie, choć jednak wybuchające życie, że rozrost i potęga płodzenia i rokrocznego odradzania się świata dla niej nie istnieje. Miłość?! Ach, tak. Kiedyś kochała. Może nawet była kochana. Nie myśleć o tym. Do dziś bowiem chwilami pali ją drapieżny głód miłości. Ale pierś zakrzepła. Nie wybuchnie z niej krzyk bolesny, krzyk cierpiącej, ale szczęśliwej kobiety, która żyje, bo kocha, bo ma prawo rodzić. Mężczyzna? Wargi układają się w grymas. Mężczyzna przychodzi, aby się nasycić i odejść. Samiec. Kobiecie pozostaje znowu samotność.

Zresztą kobieta może być samotna, byleby wierzyła, że jest komuś potrzebna, że gdzieś ktoś na nią czeka. Ktoś, komu żadna inna nie wystarczy i nie nakarmi go swoją miłością. A tak? Obrzydliwe, poufale pieszczoty są jak bilet obiegowy bez pokrycia w złocie. Noc, pełna przesytu erotycznego, w czasie której wdziera się w ciemność pokoju z zaświatów krzyk nienarodzonego dziecka, doprowadza do rozpaczy. A później długotrwały ból, aż przyjdzie nowe zobojętnienie. I nowe, a tak bardzo te same dni. Słowa o szczęściu i miłości zmiata wiatr. Wiatr zawsze wiejący w oczy. Maria zakrywa twarz. O tak, próbowała, jak Siłaczka. Nie. Żeromski nigdy nie był nauczycielką w Tomaszówce. Głodu miłości nie oszukasz w szkole. Te dzieci nigdy nie będą twymi dziećmi. Żadne z nich za cenę twego życia nie wypowie do ciebie jedyne, najpiękniejszego we wszystkich językach świata wyrazu: M a m o! To są przecież cudze dzieci. Nauczycielka nie ma do nich prawa

miłości. Miłość dziecięcia do matki jest niewidocznym śladem pępowiny: to prawo krwi. Od poczęcia do porodu—krew. Ta krew rodzi miłość. Nie, nauczycielka w szkole, pomimo wszystko—nie jest matką. Trzeba by mieć własne dziecko, malutkie, różowe. Maria je nieomal widzi — oto uśmiech, najpiękniejszy z miliona...

Turkot wozu wsiąka w strzechę. Słychać głosy. Maria odsuwa zeszyty, wstaje i nasłuchuje. Ktoś puka. Któż by o tej porze? Powoli zdejmuje ciężką zasuwę ze drzwi. Cofa się. Do mieszkania wchodzi kobieta zawinięta w chusty. Na rękę niesie dziecko. To matka,

— Marysiu!—Szloch zamienia się w wycie.

— Irenko!

Maria chwyta dziecko. Ostrożnie wywija je z chusty. Nie pyta o nic. Wie już wszystko. Irena uczyniła to, co ona winna była uczynić dawno. Nie dla siebie, nie dla mężczyzny, ale dla swego dziecka, którego nigdy niesłyszany szloch nosi w piersi.

Niemowlę śpi. Po chwili światło i ciepło budzi je. A może instynktem odgaduje, że to obce dłonie, obce palce, które nigdy nie dorównają pieśczości matczynych ruchów, je rozwijają. Twarzyczka marszczy się. Robi się stara i brzydka. Dziecko płacze. Płacze coraz głośniej. Maria odrącona stoi obok łóżka bezradnie. Spogląda w okno. Przez zamglone szyby nie widać nieba. Jutro będzie jak wczoraj, jak przed rokiem...

Płacz dziecka przechodzi w krzyk. Irena zdejmuje palto, rozpina bluzkę i nie patrząc na stojącego u progu mężczyznę, obnaża pierś. Dziecko chwyta usteczkami pachnący, mleczny węzeł i uciska się. Na jego twarz sypią się gorące, krągłe lzy matki. Wtulone w ciepło, chłonie znajomy zapach matczyngo ciała, syci się, usypia.

Maria wpatruje się teraz w matkę i dziecko. Oburącz odrzuca z czoła płomienną grzywę. Wie, że jej nigdy nie będzie dane macierzyństwo. Przyciska dłonie do piersi: wyschną nietknięte usteczkami niemowlęcia. Tak. Nie dozna rozkoszy karmienia. Jest niepotrzebna. Nikt nie zapłaci za nią w ciemności. Niczyjego nic ukoi płaczu. Ale teraz wie jedno: za drości Irenie wszystkiego. Jej rozpacz i poniżenie są w każdym razie mniej warte niż rozkosz posiadania własnego dziecka. Irena jest młoda. Dostanie pracę. Nie będzie już nigdy sama. Maria wpatruje się w matkę i dziecko nieomal z nienawiścią.

Naraz spogląda w stronę drzwi. Budzi się. — Ach to pan, panie Kawecki. Irena też podnosi głowę:—Dziękuję panu.

Nauczyciel kłania się i wychodzi. Nie szukając drogi, zanurza się w ciemność. I nie wie, czy śmiać się, czy płakać.

WITOLD KASPERSKI

Krąg słońca na zachodzie zgasł,
 ale wieczorna płonie gwiazda;
 ucichły ptaki w swoich gniazdach
 i na mnie—szukać łoża—czas.
 Księżyc kwiatem płynie
 po niebios wyżynie,
 w rozkosznej bezmocy
 uśmiecha się nocy...

Żegnaj mi, pole! Szczęsny las,
 gdzie stada przebywają rade,
 i stóp angielskich blaski blade
 i gdzie baranki pasterz pasł.
 Niewidzialne dary
 sypią się bez miary
 na okwiat i ciało
 i serce, co spało...

Trzeba w gęstwinę zajrzeć w przód,
 czy ptakom ciepło i czy leży
 spokojnie w norach każde zwierzę,
 ażeby nikt nie poniósł szkód.
 Kto cierpi, kto wzdycha,
 ten we śnie ucicha;
 anioł przy nim siedzie,
 czuwać nad nim będzie...

WILIAM BLAKE (Songs of Innocence)
 Z angielskiego spolszczył Józef Czechowicz

PRZYŚNIENIE W ŚNIE

Pocałunek na skronie przyjm!
 Kiedy czas się rozstawać nam,
 ja to jedno wyznać ci mam:
 dni me były li tylko snem.
 Sądząc tak nie błądziłeś w tem...
 Że nadzieja odlata stąd
 w noc, czy w dzień, na prawdziwy łąd
 przywidzenie (czy aby w nie?..)
 masz dlatego być pewnym mnie
 ostatniego odlotu jej?
 Co widzimy, co wydaje się,
 to jest tylko przyśnieniem w śnie...

Oto stoje a ryczy brzeg!
 Drze go fali rozbitej bieg!
 W mojej dłoni, w złocistych skrach
 drobinkami jaśnieje piach.
 Mało go... a jak sypie się sam
 spośród palców ku głębi... tam...
 Kiedy płacze, gdy łkam... gdy łkam...

Boże, rzemuż to brak mi sił
 ująć mocniej ten złoty pył,
 uratować ze srogich fal
 okruszynę, której mi żal?...

Co widzimy, co wydaje się,
 to jest tylko przyśnienie w śnie..

EDGAR ALLAN POE
 Z angielskiego spolszczył Józef Czechowicz

CZARNA PŁAMA

Ktokolwiek dłużej patrzy prosto w słońce,
widzi przed okiem uparcie krążącą
kołem w powietrzu plamę trupa cienia.

Tak za młodości mej ongi zuchwałej,
oczy przez chwilę w sławę spojrzeć śmiały:
czarny punkt został odtąd w mym spojrzeniu.

Gdzie patrzę, na czym spocznie moje oko;
wszędzie jak piętno żaloby głębokiej
kładzie się widmo owej plamy czarnej.

Cóż, zawsze! między mną i szczęściem pada!
Ach! orzeł tylko—o biada nam, biada!
W słońce i w sławę spogląda bezkarnie.

GÉRARD DE NERVAL

Z francuskiego spolszczyła Franciszka Arnsztajnowa

EL DESDICHADO

Jam jest ów chmurny,—wdowi,—mąż niepokieszony,
Jam księżę Akwitania o zniesionej wieży:
G w i a z d a moja zagasta, lutnia ugwieżdżona
Za godło c z a r n e s ł o Ń c i e m e l a n c h o l i i b i e r z e.

Któryś był mi ostoją w noc nieprzeniknioną,
Wróc mi szczyt Pauzylipu, Italii wybrzeże,
K w i a t, tak upodobany sercu stęsknionemu,
I winną gałąź z różą złączone w szpalerze.

Zalim Amor czy Febus?.. Lusignan czy Biron?
Czoło jeszcze całunek królowej rumieni,
Marzyłem w grocie skalnej, gdzie pływa syrena..

I dwukrotnym zwycięzcą przebyłem Acheron,
Z orfeuszowej liry dobywając pienia,
To krzyki czarodziejki, to świętej wężchnienia.

GÉRARD DE NERVAL

Z francuskiego spolszczyła Franciszka Arnsztajnowa

* * *

Kiedy już, porzuciwszy ciężar trosk zbyt wielu
i nudę tę, na którą dusza w mieście chora,
opamiętam się wreszcie w cieniu drzew odwiecznych
lub nad cichą roztoczą lśniącego jeziora!

Lecz raczej tam być, kędy myślom morze wtórzy,
gdzie dni mych pierwszych niegdyś słodko bieg się toczył:
tam słucałbym, jak jęząż dzikie mewy w górze,
a piana fal rzeźwiłaby mi chlustem oczy.

Ach, zima ta przedwczesna czym mnie zdziwić zdoła?
Wszystkie dary kwieciowe rozrzuciłem marnie,
i gron jesiennych dotąd nie zebrałem zgoła,
i kłosa me bogate kto inny zagarnie.

JEAN MORÉAS

Z francuskiego spolszczył K. A. Jaworski

P O B I T W I Ę

Bitwa była okropna. Zbierając oddziały,
chlona jeszcze trybuni i setnicy ciepłą
woń mordu, która płynie nad krwią niezakrzepłą
i o dźwięk się rozkazów ociera wspaniały.

Okiem ponurym, padłe leżąc towarzysze,
widzi żołnierz w oddali, niby listopadem
gnane liście, medyjskich łuczników gromadę,
a pot mu dzieje trudu na obliczu pizze.

Natenczas, pociskami zjeżony, co stoją,
barwny wylewem świeżej pokaleczeń głębi,
purpurą płaszcza owian, rozblyskany zbroją,

w huku trąb nadjeżdżając przez poległych zator,
ukazał się na koniu, co się pod nim dębi,
na tle ognistych niebios krwawy imperator.

JOSE MARIA DE HEREDIA

Z francuskiego przełożył Tadeusz Bocheński

R O N S A R D

Nieraz otworzył korę i na drzewne ciało
rzucił imię kochanki tęskniący kochanek.
Nieraz uśmiech łobiecy promieniał jak ranek,
a serce męskie dumą i triumfem drżało.

Lecz nieme było szczęście, milczały strapienia.
Kochanków cztery deski zamknęły niehawem
i nikt się pod mogilną nie zapuszcza trawę,
nikt prochów nie wydziera paszczom zapomnienia

I wasze piękne ciała byłyby dziś jeno
popiołem, słodka Mario, Kasandro, Heleno:
któreż lilie lub róże jutru płomieniały?

Lecz oto nad Sekwany, nad Loary tonią
rozśpiewany poeta uwił waszym skroniom
z mirtu miłości wawrzyn nieśmiertelnej chwały.

JOSE MARIA DE HEREDIA

Z francuskiego przełożył Tadeusz Bocheński

M U S Z L A

Któż zgadnie, o perłowe kručzej muszli szkliwo,
jakimi manowcami, ile cię jesieni
gnały burze i prądy tej szumnej zieleni,
która susze otchłanią dzieli przeraźliwą?

Dzisiaj pod nieba namiotem, z dala od goryczy
błogie ci łoża piasek poźłocisty mości.
Lecz próżno zbiegłaś: długi i pełen żalości,
pogłoś wielkiego morza wciąż w twym łonie ryczy.

I moja dusza dźwięcznym stała się więzieniem:
jak w twoich, muszlo, skrętach, tak i w jej tajniku
placze i wzdycha upiór miodzienczego krzyku.

A serce, niewygasłym dręczone wspomnieniem,
głucho, zwolna, nieznacznie, lecz wieczyście dzwoni
i pogrzmiewa, jak burza niedaleka, o Niej.

JOSE MARIA DE HEREDIA

Z francuskiego przełożył Tadeusz Bocheński

PIEŚŃ NOCNEGO WĘDROWCA

Ponad wierchami pas
Ciszy,
Górą, gdzie las,
Nie słyszysz
Technie wicherów złych;
Śpiewanie już w borze ucichło.
Czekaj-że! Rychło
Spocznieś i ty.

JOHANN WOLFGANG GOETHE

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

ADWENT

Wiatr gna przez martwe, leśne knieje
Jak pasterz, śnieżnych płatków rój
I świerk niektóry ma nadzieję
Jarzący rychło oblec strój.
Więc słucha rad. Ku drodze białej
Wyciąga—gotów—ramion łód,
Wstrzymuje wiatr i śni drząc cały
Tej jednej nocy wielki cud.

RAINER MARIA RILKE

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

DZWON

Dzwon dzwoni głos trwoni w świat musząc go ślać.
O, ktoż go z pęt musu wyzwoli?
Musi do końca roli
Swej trwać,
Aż serce w nicości szeźnie mu powoli.

NAD JEZIOREM LUGANO

Oknem się fala jeziora wkrada,
Niebo gwiazdziste i pełnia biała.
Wody nad moim przechodzą ciałem,
Śnię, że się dawno z życiem rozstałem.
Na dnie wszechbytu tkwiąc oto chyba
Jestem kamieniem, muszlą i rybą.

WĘDRÓWKA NOCĄ

Gdy nocami wędruję,
Gwiazdą się wśród gwiazd czuję,
W ślad też za moim torem
Gwiazd blaski biegną skore.
Jedna drugiej powiada,
Ze koło mnie iść rada,
Znów druga innym prawi,
By biegły mnie zabawić.
I tak kroczę w orszaku
Jak gwiazda na nieb szlaku.
Śmieję się, lśnię, wędruję,
Gwiazdą się wśród gwiazd czuję.

KLABUND

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

ROZBIERANIE SIĘ

Powoli. Bez światła
w pomroce pokoju
z pachnącą i cichą nocą
za oknem rozwartym
naprzeciw w błękit.
Stódecz.
Pogoda.
Bieg myśli skory.
Nie tak jak wczoraj
i buty padają z hałasem
umęczone ciężkimi marszami
poprzez drogi ku życia nowszemu.
Lekko mi.
Wyłuskać guziki chłodnymi palcami
i czuć świeżości powiew na szyi i piersiach.
Oczy od gwiazdy
ku wspomnieniom płyną.
Obrazy chwil minionych,
sens rzeczy uchwyconych
muzyką dnia, co minął.
Panna ubrana,
ubrana fiołkowo.
Smutne wyrazy
i ręce dwie młodości,
które zostawiły
na moich stygmat wiosny.

Dreszcz.
Cichy szelest zrzuconej odzieży,
którą pył codzienności zbrukał.
Miękki obłok materii
prześiąkniętej jeszcze chłodem
i ciało wolne, nagie.
O, czystości tej chwili,
kiedy z radością dziecięcą
kocha się powiew
pieszczący me włosy
może jak przyjaciółka,
z pewnością—jak kobieta.
Dochodzi do mojego łóżka.
oczy przymknięte.
Między rzesami trochę owego połysku
zebranego z powietrza
i trzymanego jak rosę światłości.
Zapach świeżego prześcieradła.
Otom w obliczu nocy.
Żadnego pytania,
tylko miłość niewymowna
między mną i liśćmi,
między mną i wiatrem,
między mną i błękitemi.

LUCIANO FOLGORE

Z włoskiego spolszczył K. A. Jaworski

ROSALBINA

„Rosalbino, zdajesz się madonną.
Gdyby chustka twoja była biała,
mógłbym myśleć, że ty jesteś tamtą,
która stoi na kamieniu czarnym
i owieczkę ma za siostrę swoją.“

ENRICO PEA

Z włoskiego spolszczył K. A. Jaworski

GŁODNA ZIEMIA

(fragment powieści)

Wiatr wzmagał się, przechodząc szybko w jakiś ponury, dychawiczny śpiew. Czasem zdawało się, że ktoś dobija się gwałtownie do drzwi domu, wali w okna i szaleje w nagim sadzie. „Powiesił się kto, czy co?“, burknął Jasnoch, zbudziwszy się nad ranem na swym wyziębłym, brudnym barłogu. Westchnął głęboko, przeżegnał się i, wykręciwszy się twarzą do ściany, próbował drzemać. Ale sen gdzieś uciekł pod naporem dokuczliwych myśli.

Siedząc na dziewięciu morgach, mógł jeszcze żyć jako tako, ale od czasu sprzedaży najlepszego kawałka ziemi na opędzenie kosztów związanych z nauką Franka, zaczęła się prawdziwa bieda. Teraz już wszystko wali się, marnuje z dnia na dzień, wymyka się z garści i topnieje wprost w oczach. Wczoraj na przykład sprzedał resztę zboża na spłatę długu, w ubiegłym tygodniu sekwestrator zapisał krowę za podatek, a do tego w grudniu padł mu ostatni koń. Dzisiaj pojedzie sąsiedzką furą do młyna. Zawiezie trochę pośladu na mąkę, bo chleba nie jedzą już gdzieś od Godów, a dzieci męczą się, że aż litość bierze, kiedy się słyszy ich bezustanne skomlenia. Są głodne i obdarte okropnie. Odzież zleciała z nich prawie doszczętnie, ale najwięcej daje się we znaki brak butów. W jednej parze chodzą oboje z żoną, a drugą dzielą się dzieci..

W tej chwili w izbie rozległ się trzask, a zaraz potem krzyk. Wawrzyniec Jasnoch siadł na łóżku (już szarzało) i splunąwszy daleko na klepisko, „cicho tam, szczeniaki!“, ryknął ze złością, ale wrzawa wzmogła się jeszcze. Trzy cienkie, gniewem i łzami nabrzmiałe głosy, sprzeczały się z sobą zajadle. Jasnoch znał doskonale przyczynę tej kłótni, która zdarzała się zresztą codziennie. Wiedział, że walka toczy się o buty.

— Dzisiaj ja idę do szkoły!—wrzeszczał Stasiek, usiłując wzuć na drobne, onucami poowijane nogi, ogromne, rozchlapano buciska, w czym przeszkadzał mu starszy brat—Wojtek. — Więcej już siedzieć nie chcę!..

— Oddaj buty Zośce, mówię ci, pókim dobry, bo na nią dzisiaj kolej. A jak nie, to popamiętasz mię jeszcze!..

— Zośka chodzi dopiero do drugiej klasy, to może poczekać. Po co ma się śpieszyć!..

—Dawaj!..—piszczała przeraźliwie dziewczyna, starając się słabymi rękoma zderzeć buty z nóg brata.

— Odejdź, bo dostaniesz!—ryknął Stasiek. Szybko zapiął postrzępiony kozuch, porwał jakąś książkę i wbiwszy ją w za-

nadrze, dopadł do matki, rozpalającej ogień pod kuchnią. Ale Wojtek był już przy nim. Wargi mu drżały z gniewu, a twarz zbielała, jak płótno. Podniósł w górę pięść, gotując się do ciosu.

-- Mamo!—zapłakał Stasiak.

— Wojtek, daj spokój.

— Zzuj zaraz buty!—syczał Wojtek.

-- Nie zzuję!

-- Pytam cię po raz ostatni, zzujesz czy nie?

— Ni!

— To masz! — krzyknął, uderzając brata pięścią w głowę, że ten zachwiał się i runął na komin. Podniesiony przez matkę, wytarł łzy, ściekające po twarzy, i pogroziwszy Wojtkowi szepnął:

— Chleba!..

-- Skąd ci go wezmę, co? Dopiero dzisiaj ojciec zawiezie zboże do młyna. Masz tu dwa pieczone kartofle i idź przedko, bo się spóźnisz!..

Chłopak wybiegł z chałupy. Szybko minął ośnieżony sad i budynki. Za stodołą wszedł na wydeptaną ścieżkę, którą zawsze chodził do szkoły w Białej Woli, oddalonej od ustronia Jasnochów prawie o pół mili. Droga prowadziła przez puste pola, krzaki i dwa jary.

W twarz szczypał ostry mróz, ale Stasiak nie zważał na nic. Szumiało w nim bowiem szczęście, uczucie, jakiego zawsze doznawał, idąc do szkoły, zdobywszy naturalnie, poprzednio, buty. Więc i teraz chciało mu się krzyczeć, hukać i śpiewać w niebogłosy, by świat cały dowiedział się przecież o tej jego wielkiej niewypowiedzianej ucieście. Brnąc po śniegu, zabijał zgrabiałe ręce, raz po raz poprawiał barankową czapę, spadającą na oczy, gwizdał jakąś skoczną melodię i przytupywał w takt pieśni. A odgłos podkówek dzwoniących po zlodowaciałej grudzie, przypominał mu, że ma buty. Toteż walil z całej siły w wyboisty gościniec, jakby drogą sadziły sagowe konie. Uśmiechnął się zadowolony z siebie i zapiąwszy rozchełstany kożuch, skręcił w stronę głębokiego jaru. Wiatr przycichł nieco i śnieg przestał padać. Stasiak odgarnął spadające na oczy włosy i zaraz przeżegnał się machinalnie, bo pomiędzy obielonych gałęzi lip wyjrzała stara, trochę już pochylona Męka Pańska. Przystanął. Wzrok jego przylgnął do ośnieżonej, krwią poplamionej i wychudłej postaci Zbawiciela, rozpiętego w męce na krzyżu. „O, Jezu mój drogi, miły Jezu-sieczku, zmiłuj się nade mną i daj Franusiowi dla mnie buty!“ —szepnął— „Ale takie nowe, nowiuteńkie, jak na jarmarku w

Garbowie!“ Raz jeszcze rzucił okiem na krzyż, przeżegnał się niezgrabnie i ruszył dalej, przedzierając się przez zasy, piętrzące się na drodze.

Drogą nadbiegły rozkrzyczane dzieci. Większość z nich była źle odziana; dziewczęta zamiast ciepłych palt miały na sobie jakieś tanie, kolorowe chusty, a chłopcy maszerowali wesoło w jarmarcznych, przydługich kurtach. Wszyscy śmiali się, popychali i tarzali w miękkim śniegu. Z szumem, gwarem i brzękiem cała gromada wpadła w dziedziniec szkolny.

W białej, obszernej sali huczało, jak w ulu. Trzydzieści pięć głów schylało się nad książką. Jasne, czyste, roziskrzone oczy strzelały kipiącym życiem. Proste, barchanowe sukienki paliły się swą jaskrawością na tle błękitnawych ścian, pokrytych obrazami. Z góry zwieszał się misterny pajak, utkany ze słomy i białej bibuły.

Wtem klasa przycichła, bo do izby weszła energicznym krokiem nauczycielka Zdańska, młoda, szczupła blondynka, o bladej, pociągłej twarzy i miłym uśmiechu. Na moment zatrzymała się na środku sali, (pod pajakiem) w milczeniu popatrzyła swymi szarymi i bardzo dobrymi oczyma na głowy dziecięce, potem spojrzała na obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, przed którym żarzyła się czerwona lampka oliwna, i przeżegnała się głośno.

Po modlitwie zaczęła się nauka. Trzeci oddział czytał, gdy w czwartym praca odbywała się w ciszy. Piegowata Stefka Gajówna, stojąc w ławce cięta monotonnym zawodzącym głosem sylaby. Klasa powtarzała za nią poszczególne słowa i całe zdania, pomagając sobie ruchem ust i głową. Nauczycielka poprawiała raz po raz czytającą, a wtedy szmer cichł na moment. Teraz wstał chudy Kacper, by dalej przeciągłym językiem snuć opowieść o „mądrej płużce i skąpej wiewiórcie“.

Tymczasem chłopcy z „czwartego“, korzystając ze swobody, zaczęli grać „w pióra“, i „szubienicę“. W kącie wybuchła nawet poważna awantura. Władek uderzył kułakiem w bok Makolągwę za to, że ten „szachrował“, ale Pietrek oddał mu w dwójnasób. Kaśka Reczkówna uszczypnęła Zośkę w łydkę, co zwróciło wreszcie uwagę pani.

Nauczycielka upominała, łagodnie godziła zwaśnionych, raz wstydziła, to znów po przyjacielsku karciała dzieci, kłócące się ze sobą. Pod wpływem jej dobrych, zawsze spokojnych słów, gasły spory, ginęły wzajemne urazy i objawy nienawiści,

Stasiek, pochyliwszy się nad zeszytem, pisał zadanie na temat: „Co zrobiłbym, mając milion?“ „Kupiłbym sobie zaraz nowe buty na jarmarku w Garbowie“, nagryzmolił z niechę-

cią i odłożył na bok pióro, gdyż poczuł nagle piekący ból w gardle i dreszcz, przebiegający po krzyżu. Ujął ciężką, rozkuślaną głowę w dłonie i tak siedział bez ruchu, nie widząc już nic z tego, co działo się w klasie.

Obok niego zaś pisał Jasiak Pstrąg: „Mając milion, zakupiłbym zara wielgi dwór. Z końmi, bydłem, młocarnią i żniwiarką. Żeby mi było dobrze“. Inaczej natomiast ujął swą odpowiedź Pietrek Makolągwa: „Gdybym miał milion, jadłbym sam biały chleb z kiełbasą. I zawsze byłbym syty“, twierdził, a Kasia chciałaby mieć „pięć sukienek z prawdziwego jedwabiu, jak królewna Śnieżka“. Andrzej Wałoch nabyłby „tysiąc samolotów dla polskiej armii. Żebyśmy nie bali się już niczego“.

Stasiek chciał uczyć się wiersza na pamięć, ale nie mógł, bo jakaś dziwna niemoc obezwładniła go zupełnie. W uszach miał szum, zgrzyty i świsty. Z trudnością łykał ślinę i trząsał się cały z zimna. „To wszystko z głodu!“, pomyślał i, doczekawszy się wreszcie pauzy, sięgnął do kieszeni po spalony kartofel. Odgryzł kawałek, ale nie mógł przełknąć. Coś dławilo go w gardle. Tylko zsiniałe usta zadygotały, a w oczach ukazały się łzy.

Po skończonej nauce włókł się nogą za nogą do domu. Z trudem wyciegał ogromne buty z sypekich widm śnieżnych, w pocie czoła przedzierał się przez zaspy, a droga dłużyła mu się, jak nigdy jeszcze. Przed figurą dopędził go zziąjany Pietrek Makolągwa.

— Dobrze, że cię złapałem! — zasapał z nienawiścią nad głową chłopca i porwał go jednocześnie za ramię.

— Czego ty chcesz ode mnie? — skrzywił się Stasiek.

— Oto, czego chcę! — wrzasnął, uderzając go pięścią w twarz zsiniałą od zimna.

— Za co mię bijesz, fernalu jeden! — starał się bronić Stasiek.

— Tamto było za to, że nie chciałeś mię zasłonić, kiedy graliśmy w pióra! A to za „fernala!“ — potężnym ciosem zwałił z nóg płaczącego chłopca i pobiegł dalej drogą, pogwizdując sobie wesoło. Gromada dzieci, wracających ze szkoły, zatrzymała się nad rowem, z którego starał się wygramolić Stasiek.

— Stasiek, ależ ty, jak straszydło! — chichotał Pstrąg.

— Śnieg masz w gębie! — dorzuciła Kasia.

— Otrzep się!

— Ale ci dał Pietrek, to dał!..

— Jutro powiem pani! — pisnęła pucułowata Hanka.

Stasiek stanął na gościńcu. Wyglądał naprawdę, jak stra-



sztyło. Włosy miał zjeżone i rozczochrane okropnie, twarz pełną rozmazanych plam, usmarkany nos i opuchłe, zaczerwienione oczy. Pochlipując żałośnie, skręcił na boczną ścieżką, wiodącą przez pola.

Zdziwił się, bo topole nadwiślańskie, zdobiące dworską aleję, poczęły mu w oczach tańczyć, jak żywe. Ziemia wygięta się i zakręciła w kółko, niby odpustowa karuzela, na której jeździł raz w życiu z Franusiem będącym na wakacjach. „Czary czy co?“, bąknął i zatrzęsł się ze strachu. Przycupnął na śniegu, za krzakiem tarniny i, otuliwszy się kożuchem, czekał, kiedy świat przestanie się wreszcie kołysać. Dla pewności chwycił zgrabiałą ręką jakiś pręt, wyrastający z ziemi, wpił się weń kurczowo, z całej siły, by nie dać się porwać wirowi pól, wyprawiających najdziwniejsze łamańce. Powoli uspokajało się wszystko. Ziemia przestała już wariować, a jednocześnie znikły drzewa, znikł las, siniejący na widnokręgu, gdzieś roztopiły się tarniny i zapodziała wydeptana ścieżka, którą niedawno biegł do domu. Wszystko, to rozmazało się i została tylko biel, biel i biel, w której tkwił on jeden. Starał się przelknąć ślinę, a wtedy jakby go ktoś dźgnął nożem w gardło. Ięknął i jął zabijać zziębnięte ręce. Teraz było mu już cieplej. Poweselał nawet. „Jestem na czczo, myślał, i dlatego słaby. Trzeba sobie podjeść, a nogi polecą same!“ Długo nie mógł trafić do kieszeni. Wreszcie odnalazł nadgryziony kartofel i podniósł go do ust...

Zerwał się gwałtowny wiatr, Śnieg zaczął padać coraz gęstszy. Pola dymiły, jakby ktoś sypał mąkę z niebieskiego młyńca. Kurzawa w mig zatarła wszystkie ścieżki i ślady. Zrobiło się białe. Nad ziemią przewalały się jęki, ryki i świsty. W górze słychać było nieustanny szum, jakby w pobliżu szumiały jakieś potężne drzewa. Ale topole zostały daleko w tyle.

Stasiek z męką podniósł się z ziemi i, chlipiąc gorzko, jął iść przed siebie. Nogi gięły się pod nim, w głowie huczało głośniejsze, niż na szalejącym świecie, w gardle czuł wzrastający ból, a przez dziury postrzępionego kożucha wdzierało się niemilosierne zimno. Do tego jeszcze w oczy ciął śnieg, utrudniając orientację. Szedł więc na oślep, bo z dawnej ścieżki, którą zwykle uczęszczał do szkoły, nie pozostało nawet śladu. Przed sobą zaś nie widział nic prócz rozkudłanej kurzawy. Raz po raz potykał się, padał, by zaraz znów wynurzyć się z wydm i iść dalej. Oblepiony szronem i lodem, stał się podobny do jednej bryły śniegu. Chuchał w dłonie, zabijał ręce i brnął ostatkiem sił po bezdrożach. „O, Jezusie mój, ra-

tuj!“, szeptał w kółko, buchając ogromnymi buciskami po mlecznym puchu, zaścielającym ziemię. Porwały go dreszcze. Dzwonił zębami, siadał chcąc odpocząć nieco, a bezdźwięczne wargi żuły słowa pacierza.

Ucieszył się, spostrzegłszy kępę ośnieżonych krzaków. „Tutaj przeczekam kurzwę“, pomyślał z radością. Szybko wtulił się między gałęzie, a nie czując już naporu wichru, uśmiechnął się do siebie. Było tu zupełnie ciepło, jak w chałupie. Tylko nad głową przelewał się grzmot rozwścieczonej wichury. Ale co go to mogło obchodzić, że świat się wali, kiedy mu było dobrze, coraz lepiej. Szczelnie okręcił się w kożuch, czapkę wbił na uszy i tak siedział bez ruchu. Gdzieś podział się strach, znikł ból w gardle i ustały dreszcze. Może niedługo uspokoi się burza, a wówczas pójdzie dalej.

Wieczorem znaleziono na zawianej drodze, pod kępą głógów, jałowców i tarniny skostniałe ciało Staśka Jasnocha. Siedział sobie pod gałęziami, jak żywy. Oczy miał przymknięte, za pazuchą podartą książkę, a w konwulsyjnie zaciśniętej garści trzymał nadgryziony kartofel. Na ustach, pokrytych szronem, zastygł uśmiech, a ten właśnie najwięcej dziwił plotkujące sąsiadki, ściągające całą gromadą z Topolnicy, Marzenina i aż gdzieś z Zabytowa.

W chałupie Jasnochów wybuchł lament, ale po północy, kiedy już rodzina wyplakała się do syta, ucichło wszystko. Nawet baby porozchodziły się po domach, dając jeszcze na progu swoje rady matce, pochlipującej nad zmarłym.

Stasiek leżał na ławie, zasłanej lnianą płachtą. Miał na sobie czystą koszulę z czerwoną spinką, (tę którą lubił najlepiej), odświętne ubranie, kupione w Adwencie na jarmarku za trzy złote, i obrazek w rękach. Tylko nogi były bose i brudne i te właśnie psuły paradną całość, uświetnioną jeszcze świecą, nabytą od Motla za cztery jajka, a teraz płonąca, jak podczas wigilijnej wieczerzy. W blasku tej lojówki uśmiech Staśka stał się zupełnie prawdziwy, tak że mała Zośka, obserwując przez łyż umarłego brata, rzekła do matki cicho: „Patrzcie mamó, Stasiek się śmieje!“

Nazajutrz odbył się pogrzeb. Zwłoki chłopca zamknięto w nieheblowanej skrzyni, zawieszono pod kościół, gdzie ksiądz pokropił „trumnę“, a następnie wrzucono do dołu, wykopanego przez grabarza za złotówkę. Podczas tej ceremonii raz jeszcze polały się łzy i skończyło się wszystko.

Tego dnia w chałupie Jasnochów było cicho. Gospodarz siedział na zydlu pod kominem i kręcił papierosy z orzechowych liści, używając zamiast bibułki ulotek wyborczych, na

których można było wyczytać słowa: „Głosujcie tylko na naszą listę kandydatów. Bo my tylko podniesiemy wieś, damy chłopu dobrobyt, a Polsce potęgę“. „Jedna gęba mniej, może da Bóg, że będzie jakoś lżej!“, myślał.

Tylko Zośka mazała się bez ustanku, dodając matce żalu. Tarła pięścią zapuchłe oczy i wciąż wspominała zmarłego. Do stała za to szturchańca od Hanki, ale i to nic nie pomogło. Wreszcie Wojtek nie wytrzymał. Wziął dziewczynę z sobą do sieni.

— Czego becysz?—pytał ze złością.

— Staśka już nie ma!—odparła popłakując.

— Ale za to masz, głupia, buty! Teraz już dzień w dzień będziesz chodziła do szkoły.

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

P I E Ś Ń

Kto pijąc nie wie, co to śpiew,
ten niezupełnie jest wesoły:
bóg pieśni z bogiem wina społem
uciechy nowe wszeczepia w krew.

Przy winie piosnka cieszy słuch,
ić winny zawsze one w parze,
gdzie bowiem harfa przy pucharze,
tam dwie radości, bogów dwóch!

Tak w noc ciemniejszy nieba płąt,
gdy go osrebrzy blask księżycy:
tak czarowniejsze milej lica
w obramowaniu strojnych szat.

Kto pijąc nie wie, co to śpiew,
ten niezupełnie jest wesoły:
bóg pieśni z bogiem wina społem
uciechy nowe wszeczepia w krew.

NIKOLAJ JAZYKOW (1803—1846)

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

I ja lubiłem, gdym był młody
a w duszy spokój błogi gościł,
i gromkie burze złej pogody
i tajne burze namiętności.

Niestety, ich urody wstrętnej
poznałem wkrótce już tajniki
i znudził mnie ich bełkot mętny
i pełen wrzasku język dziki.

Dziś chęci moje ciszej kwitną,
a serce cieszy urok nowy:
w poranek—nieba dal błękitna,
pod wieczór—cieplej szepł rozmowy.

MICHAŁ LERMONTOW (1814—1841)

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

* * *

Były burze, były słoty.
Ale młodość!—wiek był złoty.

W chmurny dzień, gdy brzemię gniecie,
westchnij mocno,—lżej ci przecie.

Pieśń zuchwała się rozśpiewa,
smutek w koło się rozlewa.

A gdy wiek już, wiek już stary
przyjdzie w parze ze swą karą,

podwójnego z bark brzemienia
nie odrzucą tve westchnienia:

nie wymienią się na głosy
czarne myśli, białe włosy!

JEWGIENIJ BARATYNSKIJ (1800—1845)
Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

* * *

Miesiąc Pański w górze wisi.
Ciężko mnie.
Namęczyłam ja się dzisiaj,
tak mi źle.

Dookoła nie zaszczeka
żaden brat.
Straszna nuda w krąg powleka
martwy świat.

Na ulicę jasność splywa
z srebrnych lic.
Ni odgłosu, nie przerywa
ciszy nic.

Obwąchuję ziemię w trwodze,
czegoś brak.
Słabo pachnie mi na drodze
jakiś znak.

Nie dostrzegam z żadnej strony
ludzkich nóg.
Kto tu przyjdzie upragniony:
druh czy wróg?

Pod miesiąca zimnym dyskiem
w ciszy trwam.
Nie wytrzymam, smutnym pyskiem
szczeknę sam.

Miesiąc Pański w górze wisi
całą noc.
Tak mnie gnębi nuda dzisiaj
i zła moc.

Budźcie się więc, psy, by warezć
w nocny czas.
Wyjmy na księżycą tarczę
wszystkie wraz.

FIEODOR SOŁOGUB (1863—1927)
Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

Gdy groźnie brzmi wojenne dal
i wstaje każdy dzień skrwawiony,
nie wórzy serca mego żal
łzom przyjaciela ani żony.
Obetrze żona gorzkie łzy,
zapomną ludzie i rodzina, —
lecz gdzieś na świecie serce drży,
które po śmierć nie zapomina.
Wśród poplątanych naszych dróg,
gdzie każdą chwilę kłamstwo znaczy,
niewiele-m w życiu dostrzec mógł
łez szczerzej męki i rozpaczy.
To siwych matek łzy i ból!
Jak liści, co opadły w dół,
już nie podniesie wierzba skromna,
tak one nigdy nie zapomną
poległych wśród bitewnych pól!

NIKOLAJ NIEKRASOW (1822—1877)
Z rosyjskiego spolszczył Józef Łubodowski

DO POETY

Tyś winien mieć dumę sztandaru,
tyś winien ciąć mieczem swych słów;
jak Danta piekielne pożary
powinny oparzyć cię znów.

Na wszystko patrz okiem badacza,
niech nigdy nie zadrży ci głos.
Niech tym się twa cnota odznacza,
żeś zawsze pójść gotów na stos.

Kto wie, może żyjem li po to,
by wierszy rozwijać wciąż pnącz,
więc już od zarania żywota
wyrazy jarzące się łącz.

Gdy usta do ust twych się zbliżą,
ty obojętnie się tul,
a gdy cię rozepną na krzyżu,
z zachwytem powitaj ten ból.

Pij w nocy i w snach porankowych,
co sączy ci losów złych dżban,
i pomnij — od wieków cierniowy
każdego poety był wian.

WALERY BRIUSOW
Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

O pustki oczu chłopięcych! Otchłanianie
lazurów! Lazurów, choćby i ciemnych!
O pole bitwy, która się nie stanie!
Tabernaculum burz naremnnych!

Lustrzane! Bez głębi, bez fali drżące!
Jest w nich wszechświata krok daleki.
Lazur! Lazuru pustki tak dzwoniące
ogromnych pustek biblioteki.

Otchłanianie oczu chłopięcych! Przełęczcie!
Wodopój dusz, kiedy ogniami błysną!
Oazy! Aby każdy mógł pić i pić więcej
i aby pustką się zachłysnął...

Piję—na próżno. Wdech i wielki wydech!
I z krwi wzburzonej głuchy pogłos szału!
Tak zachłystywał się w nocy Dawidem,
ze snu go budząc, król Saul...

MARINA CWIETAJEW
Z rosyjskiego spolszczył Józef Czechowicz

H Y M N W S T Ę P N Y

O siło natchnień, z której sztuka tryska
wachlarzem barw i zawieją tonów!
Twym czarem z myśli twórczego ogniska
wibruje światło drganiem elektronów.
O siło natchnień, co zwycięstwem władasz,
ofiarę duszy mej niech deszcz twych ogni zrasza,
jak ongiś ołtarz kamienny Eliasza,
kiedy obiatę krwawą Bogu składał.

W mej duszy smutek tkwi i gorzkie, tęskne wonie,
myśl ma—gromnica—blask światła nikłego,
w nędznym świeczniku ciała słabo płonie
u stóp ołtarzy wiecznych Nieznanego.

Usta niewieście mej krwi nie rozgrzały
i szal miłości w mych oczach nie wspłonał,
żaru rozkoszy nerwy nie zaznały,
woni przyjaźni małym w życiu chłonał.

Rachunek życia sam rozwiązywałem,
schylony nisko nad snów zagonami,
pieściłem złudy, mgłę tęsknot kochałem,
więcej niż życiem grzeszyłem myślami.

Wiosna ma—smutne, eligijne tony,
na życia fletni lkane cichym głosem,
radość ma—kępka, garść trawy wduszonej
w mur, w bruk, żyjącej dzięki kroplom rosy.

Wspomnienia moje bez barw są, jak gdyby
kwiaty szarotek w zielnikowej pleśni,
plon poniżonych ze swej biorąc skiby,
zgniliznę nędzy wdychałem zbyt wcześnie.

Łuna wszechświata, gdy w oczy mi padła
osnową światła, tajnią wiecznej siły,
od kosmicznego odbita zwierciadła,
w duszy się mojej krwawo zestrzeliła.

Zaduch krwi skrzeplej wyszałem z historii,
z głębi swej duszy grozę Nieznanego,
patrzałem w życia grę, jak w szczęścia złudną glorię,
jak w muszlę lśniąca w załamaniach brzegów.

Gasić u życia rzeki już nie chcę pragnienia,
jak żołnierz Gedeona płć dłonią z krynicy,
zebrawszy w duszy swej mistycznych garść promieni,
ukląkłem zadumany w świątyni Tajemnicy.

Jest smutna dusza moja i pełna tęsknej woni,
myśl ma—gromnica—blask światła nikłego,
w nędznym świeczniku ciała słabo płonie,
u stóp ołtarzy wiecznych Nieznanego.

O siło natchnień, z której sztuka tryska
wachlarzem barw i zawieją tonów!
Twym czarem z myśli twórczego ogniska
wibruje światło drganiem elektronów.
O siło natchnień, co zwycięstwem władasz,
ofiarę duszy mej niech deszcz twych ogni zrasza,
jak ongiś ołtarz kamienny Eliasza,
kiedy obiatę krwawą Bogu składał.

(Z tomu „Tajemné dálky“)

OTOKAR BRZEZINA

Z czeskiego spolszczył Antoni Madej

TROCHĘ WAŻNIEJSZYCH DAT

odnoszących się do ruchu literackiego w Lubelszczyźnie

- „Poezje”—debiut poetycki Tadeusza Bocheńskiego (Lublin) r. 1919
- „Lucifer”—miesięcznik literacko-artystyczny, redaktor Stanisław Zakrzewski (dwa numery) r. 1921-22
- „Reflektor”—pismo literacko-artystyczne, redaktor Wacław Gralewski (jeden numer) r. 1925
- „Czerwonej i białej kochance”—debiut poetycki K. A. Jaworskiego (Chełm) r. 1924
- „Reflektor”—miesięcznik literacki, redaktor Konrad Bielski (jeden numer) r. 1924
- Franciszka Arnsztajnowa „Archanioł jutra”—(Lublin) r. 1924
- „Reflektor”—czasopismo literackie, redaktor Konrad Bielski (№ 2—marzec) r. 1925
- Wieczór literacki grupy poetyckiej „Reflektor” (Bielski, Bocheński, Czechowicz, Gralewski, Grędziński, Jaworski)—słowo wstępne C. Bobrowskiego, Lublin 28.III r. 1925
- „Reflektor”—czasopismo literackie, redaktorzy: Konrad Bielski, Czesław Bobrowski (№ 3—czerwiec) r. 1925
- „Nowe Życie” dwutygodnik ilustrowany, poświęcony literaturze, sztuce i życiu, redaktor Tadeusz Bocheński (trzy numery) r. 1925
- „Przegląd Lubelsko-Kresowy”, redaktor Franciszek Głowiński—dodatek literacki (Bielski, Czechowicz, Jaworski) r. 1925
- „Parabole”—debiut poetycki Stanisława Grędzińskiego (Lublin, Biblioteka Reflektora) r. 1926
- „Kamień”—debiut poetycki Józefa Czechowicza (Lublin, Biblioteka Reflektora) r. 1927
- „Ziemia Lubelska”—dodatek literacki pod redakcją Fr. Arnsztajnowej, później dr. F. Araszkiewicza (15 numerów) r. 1927
- „Ziemia Lubelska”—dodatek literacki grupy młodych literatów „Kadra” r. 1929
- „Ziemia Lubelska”—dodatek literacki pod red. J. Czechowicza r. 1930
- „Słońce przez szpary”—debiut poetycki Józefa Łobodowskiego r. 1930
- „Płonące lonty”—debiut poetycki Antoniego Madeja r. 1931
- „Barykady”—miesięcznik literacko-społeczny, redaktor Józef Łobodowski № 1 (№ 2 skonfiskowany) r. 1932
- „Wczoraj”—debiut poetycki Bronisława Ludwika Michalskiego (Lublin) r. 1932
- Powstanie Związku Literatów Lubelskich (przejawiał działalność do r. 1937) r. 1933
- „Tańcząca karczma”, powieść—debiut Józefa Nikodema Kłosowskiego r. 1933
- „Kamena”—miesięcznik literacki, redaktor K. A. Jaworski Chełm (dotychczas 54 numery) r. 1933
- Powstanie Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej r. 1934
- „Dźwigary”—miesięcznik poświęcony sprawie polskiej kultury proletariackiej, redaktor Józef Łobodowski (dwa numery) r. 1934-35
- „Stare kamienie” dwugłos poetycki o Lublinie—F. Arnsztajnowa i J. Czechowicz r. 1934
- Tragiczna śmierć Bronisława Ludwika Michalskiego 27 lipca r. 1935
- „Spotkanie z brzozą”—pośmiertny tom poezji B. L. Michalskiego r. 1936
- „Pełnia czerwca”—debiut poetycki Wacława Iwanjuka r. 1936
- „Stopy w niewoli”—debiut poetycki Władysława Podstawki r. 1936
- „Współczesna poezja polska—antologia poetycka w opracowaniu Adama Szczerbowski (Zamość) r. 1936
- Przyznanie pierwszej nagrody literackiej im. B. Prusa przez Lubelski Związek Pracy Kulturalnej r. 1936
- Adam Szczerbowski: „Bolesław Leśmian” (Zamość) r. 1938
- Pięćdziesiąty numer „Kamień” r. 1938

**KOLEDZY LUBLINIACY! CZY KAŻDY Z WAS
JEST PRENUMERATOREM „K A M E N Y“ ?**

UKAZAŁ SIĘ pod redakcją Zygmunta Kukulskiego tom III „Pamiętnika Lubelskiego” za lata 1935-37. Książkę poprzedza znamienna dedykacja: „Pamięci poprzednika swojego Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Lublinie (1818-1830) jubileuszowy III tom „Pamiętnika Lubelskiego” poświęca w hołdzie w dziesięciolecie swego istnienia (1927 — 1937) Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie”. Nowy, liczący z górą 600 str. tom, zawierający prace 30 autorów, świadczy o dużej żywotności lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Obok rozpraw i artykułów, materiałów i notatek o charakterze regionalnym lub ogólnym (m. in. Wiktora Hahna, Juliana Krzyżanowskiego, Ludwika Kamykowskiego, Antoniego Abramowicza, Feliksa Araszkiewicza, Władysława Papierkowskiego, Władysława Kuraszkiewicza, Zygmunta Kukulskiego, Franciszka Gucwy, Pawła Gduli, ks. Ludwika Zaleskiego) redakcja szczególniejszą uwagę zwróciła na dział kroniki, mający na celu możliwie wszechstronne zobrazowanie całokształtu życia kulturalnego Lublina i Lubelszczyzny.

LISTOPADOWY ZESZYT „OKOLICY POETÓW” zawiera antologię poezji greckiej w doskonałych przekładach ex-lublinianina Tadeusza Bocheńskiego. Znajdziemy tu fragment z „Iliady”, hymny Homeryckie, kilka wierszy Safony, dwa utwory Pindara, „Hymn do Dzeusa” Kalimacha, „Pasterzy” i „Czarownice” Teokryta oraz „Wojnę żabio-mysią”. Antologia ta jest uzupełnieniem „Antologii poezji rzymskiej” ogłoszonej w roku ubiegłym w № 27 „Okolicy Poetów”. Bocheński jest nie tylko tłumaczem poezji klasycznych. Jego świetne spolszczenia sonetów Heredii (zamieszczaliśmy je w rocz. II i III „Kameny”, a znajdzie je czytelnik i w niniejszym zeszycie) powinny ukazać się jak najrychlej w książkowym wydaniu.

NAKLADEM BIBLIOTEKI ZET ukazał się nowy zbiorek poezji Antoniego Madeja. („Drzewo figowe”, Warszawa 1938). Obok poważnych i pięknych wierszy refleksyjno-religijnych, uderzających czasem nawet w ton Kochanowskiego i Mickiewicza, poeta lubelski niepotrzebnie zamieszcza tu próbki swych satyr, które nazwał „fraszkami”. Do tego rodzaju poezji Madej nie ma zupełnie uzdolnień, a ostrzem swego pióra nie zawsze godzi we właściwym kierunku. Charakterystyczny pod tym względem jest naiwny „But”, wymierzony w intencji autora przeciw proletariatu. Czyżby Madej naprawdę nie wiedział, kto dzisiaj propaguje „klasę nadludzi i rasę nadarów”, kto zamierza „niszczyć bliźnich i mieczem i kulą”, czyj wreszcie „but” niesie „wolność” i „wyzwolenie”?

PIĘKNIE UCZCILI DWUDZIESTOLECIE NIEPODLEGŁOŚCI chełmski oddział Towarzystwa Polonistów, którego staraniem, przy wysiłku zwłaszcza p. Kazimiery Lipskiej i p. Adama Sarbinowskiego, została urządzona w Chełmie Wystawa Współczesnej Książki Polskiej. Skupiła ona mnóstwo eksponatów ilustrujących dorobek większości instytucji naukowych, kulturalnych, społecznych i gospodarczych oraz firm wydawniczych. Ciekawie był reprezentowany dział poświęcony walkom o niepodległość i Polsce Współczesnej, interesujące były niektóre wydawnictwa bibliofilskie, ex-librysty i polonica zagraniczne. Niestety, inteligencja chełmska widocznie mało zajmuje się książkami, gdyż poza nauczycielstwem reprezentowała publiczność w znikomym stopniu. — kaj —

Z okazji Dwudziestolecia Niepodległości poświęcamy cały niniejszy numer „Kameny” literatom lubelskim.

Niech gromadka hołdujących muzom lubliniaków, dziś rozproszona po całej Polsce, choć w ten sposób znów się znajdzie ramię przy ramieniu jak za niedawnych czasów.

PONAWIAMY NASZ APEL Z POPRZEDNIEGO NUMERU

„Chcąc podnieść „Kamenę“ musimy przede wszystkim powiększyć liczbę jej prenumeratorów. Mimo iż borykaliśmy się z trudnościami finansowymi, nie zwracaliśmy się nigdy do czytelników z prośbą o ofiary na fundusz wydawniczy, uważamy bowiem, że podstawą materialną pisma powinien być tylko dochód z prenumeraty. Dlatego więc dzisiaj apelujemy do naszych przyjaciół i sympatyków, by regularnie wpłacali należność za pismo i jednali nam nowych prenumeratorów. Rozsyłaliśmy w ciągu pięciu lat egzystencji „Kameny“ różnym osobom z różnych względów egzemplarze bezpłatne. I do tych czytelników zwracamy się dziś z prośbą, by poparli efektywnie nasze wydawnictwo i zaprenumerowali „Kamenę“. Wierzymy, że nasi sympatycy nas nie zawiodą i każdy z nich zjedna nam przynajmniej jednego prenumeratora.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. ST. J. L. w WARSZAWIE. Dziękujemy serdecznie za pamięć. Oczywiście wyzyskamy w najbliższych numerach nadesłany obecnie i dawniej materiał.

P. A. PIW. w RADOMIU. Dziękujemy za pozdrowienia i przesyłamy je nawzajem. Z „Niewyśpiewanego“ nie skorzystamy, prosimy jednak o nas nie zapominać.

P. J. W. w ZDUŃSKIEJ WOLI. Dziękujemy. Zamieścimy „Nastroj muzyczny“ albo „Kołysankę“.

P. ST. B. w STYDYNIU WIELKIM. Z uprzejmie nadesłanych ostatnio wierszy coś wybierzemy.

P. L. BEND. w RADZYNIU. Wiersz Lermontowa „Kogda wołnujetsia żeltiejuszczaja niwa“ był już drukowany w „Kamenie“ w innym przekładzie. Za miłe wyrazy dziękujemy uprzejmie.

P. L. PIĘK. W ŁĘKACH. A. Huxley jest pisarzem angielskim, Björnson urodził się w r. 1832, Hamsun w r. 1859, Hansson w r. 1860. Pierwszą nagrodę literacką Nobla uzyskał w r. 1901 poeta francuski Sully Prudhomme. Wiersze nie nadają się jeszcze do pisma literackiego.

P. J. SCH. w HAJDUKACH WIELKICH. Z wierszy oryginalnych najlepszy „Bez tytułu“, ale jeszcze nie dla nas. Z

przekładów zatrzymujemy w tece Rilkego „Znaj tych rzeczach wszystkich“. Za miłe życzenia serdecznie dziękujemy.

P. M. STR. w GRUDZIĄDZU, Z wierszy nie skorzystamy.

KSIAŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

Janina Brzostowska: Naszyjnik wieczności W-wa „Skawa“, Warszawa 1939.

Tadeusz Juliusz Demczyk: Tworzę życiorys, B-ka „Okolicy Poetów“ 1938.

Rudolf Fabry: Vodné hodiny hodiny piesocné Năkl. Urbănka a Spol. Trnava 1938.

Światosław Gordyńskij: Snowydiw, „Smolospypy“ Lwów 1938.

Mieczysław Lisiewicz: Trop nad jeziorem, Kraków Księgarnia Powszechna.

Ludwik Łakomy: Obrazki z powstań górnośląskich Wojsk. Inst. Nauk.-Ośw. Warszawa 1938.

Władysław Okrzewski; Witold Panta: Słowa oczekiwane, Kraków 1938.

Aleksander Rymkiewicz: Potoki, Nakładem Zw. Zawod. Liter. Pol. Wilno 1938.

Janusz A. Rymśza: Szepty w rzece, Warszawa, Geb. i Wolf 1938.

Atanas Rusew Sam: Złatien praszec, Ruse 1936.

Atanas Rusew Sam: Piesnitie na jedin Bołgarin Sofia 1938.

Atanas Rusew Sam: Czowieszki siluety Sofia „Fakiel“ 1939.

Stanisław Skoneczny: Ziemia była szeroka Warszawa, Ho-sick 1939.

Słowacja i Słowacy, praca zbiorowa pod red. Władysława Semkowicza t. II Dzieje i literatura Kraków 1938.

Księga Pamiątkowa na dziewięćdziesięciolecie dziennika „Czas“ Warszawa 1938.

E R R A T A

W numerze poprzednim w wierszu „Elegia“ St. Napier-skiego zamiast „Z muzycznego powoli opadasz niebytu“ powinno być: „Z muzycznego opadasz powoli zenitu“.

W przekładzie „Więzów“ Apollinaire'a opuszczono po słowach „Kable podmorskie“ zdanie: „Wieże Babel zamienione w mosty“.